WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 38 (260)
Rok VI
25 IX 1966 r.

Laureaci nagród WRN w Rzeszowie

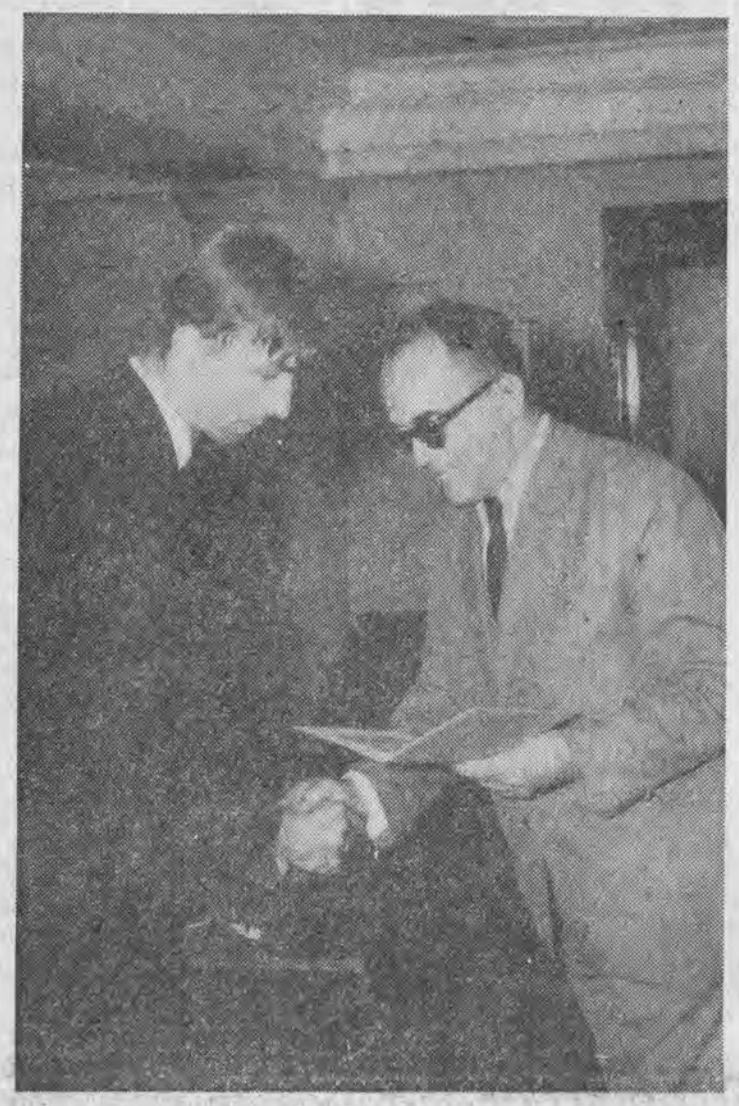

Nagrody Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie mają już swoją tradycję. Przyznawane od 1955 roku za działalność artystyczną, naukową i kulturalną zyskały sobie autorytet i dużą popularność w naszym województwie. Otrzymało je już wielu pisarzy związanych ściśle z ziemią rzeszowską, plastyków, dziennikarzy, naukowców i działaczy kulturalnych za twórczość wpływającą w istotny sposób na kształtowanie się oblicza kulturalnego tej ziemi.

Nagrodzono również zespoły artystyczne lub placówki zasłużone dla województwa. Kilka dni temu wręczono laureatom tegoroczne nagrody WRN. Oto sylwetki nagrodzonych w roku 1966.

Nagrody indywidualne: Mgr WŁADYSŁAW BOBEK — obecnie sekretarz KM PZPR w Stalowej Woli, otrzymał nagrodę za kilkuletnią działalność na stanowisku kierownika Zakładowego Domu Kultury w Stalowej Woli. Był tam inicjatorem i organizatorem nowych form działalności kulturalnej i oświatowej. Powołał przy ZDK studium wychowania estetycznego organizujące spotkania z ludźmi teatru, muzyki i plastyki. Był organizatorem dobrze pracującego koła miłośników teatru i tzw. „czwartków teatralnych" dla załóg poszczególnych działów Huty „Stalowa Wola". Spektakle w te dni poprzedzały prelekcje poświęcone zagadnieniom teatru lub spotkania z autorami sztuk. Zainicjował również żywą działalność artystyczną i kulturalną w środowiskach robotników dojeżdżających do pracy w Stalowej Woli, organizując w okolicznych wsiach imprezy artystyczne i prelekcje, wypożyczając kostiumy i dekoracje i służąc pomocą instrukcyjno-metodyczną. Dzięki jego pracy ZDK w Stalowej Woli jest najlepszą związkową placówką kulturalno-oświatową w województwie.

Mgr Władysław Bobek jest delegatem na Kongres Kultury Polskiej.

KAZIMIERZ MIERCZYŃSKI — artysta rzeźbiarz, dyrektor Państwowego Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie. Jako pedagog doprowadził mimo bardzo trudnych warunków szkołę w Sędziszowie do wysokiego poziomu w skali krajowej. Kilkunastu jej absolwentów ukończyło wyższe uczelnie plastyczne, kilkunastu zdobywa w nich wiedzę obecnie. Szkoła kierowana przez Kazimierza Mierczyńskiego cieszy się powszechnym zainteresowaniem zarówno ze względu na jej wyniki nauczania, jak i działalność społeczną i kulturalną w środowisku. Była ona przedmiotem wielu publikacji prasowych, filmowych i telewizyjnych.

Kazimierz Mierczyński jako artysta należy do twórców, którzy wnieśli duży wkład w upamiętnienie miejsc straceń walk i męczeństwa. Jest autorem pomników w Nockowej, w Jarosławiu, w Ropczycach, w Pustkowie; wykonał wiele tablic pamiątkowych, medali i plakiet.

EDWARD KIEFERLING — artysta malarz, dyrektor Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Jarosławiu, jest jednym z założycieli Grupy XIV, która przybyła w roku 1956 na teren województwa rzeszowskiego. Jako pedagog i działacz kulturalny prowadzi akcję popularyzacji sztuki w środowisku nauczycielskim. Współpracuje z Ośrodkiem Metodycznym przedmiotów plastycznych w Krakowie i zagranicznymi placówkami tego typu. Prowadzi akcję odczytową i organizuje wiele wystaw. Szkoła, którą kieruje, należy do jednych z najwartościowszych szkół tego typu w kraju.

Jako twórca brał udział we wszystkich wystawach Grupy XIV, w wystawach Okręgu ZPAP w Rzeszowie oraz w wielu wystawach ogólnokrajowych (Kraków, Szczecin, Warszawa). Jest jednym z organizatorów „Grupy Jarosław" i bierze czynny udział w jej działalności. W środowisku jarosławskim Edward Kieferling jest znany również jako działacz społeczny.

Doc. inż. ROMAN NIEDZIELSKI — rektor Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Rzeszowie. Od 1951 roku związany z pracami organizacyjnymi nad powstaniem wyższej uczelni technicznej w Rzeszowie. Położył duże zasługi dla stworzenia zaplecza dydaktycznego dla uczelni oraz współdziałał w zabezpieczeniu dla niej bazy materialnej. Gdy w roku 1962 po Wieczorowej Szkole Inżynieryjnej i Filii Politechniki Krakowskiej powstała Wyższa Szkoła Inżynierska o dwóch wydziałach — mechanicznym i elektrycznym, Roman Niedzielski został jej rektorem. Oprócz żywego zaangażowania w bieżące sprawy organizacyjne i dydaktyczne WSI, laureat aktywnie współpracuje z miejscowymi władzami nad projektami dalszego rozwoju uczelni i podniesieniem jej rangi w środowisku. W wyniku tych wysiłków powstaje trzeci Wydział Inżynierii Komunalnej, a w projekcie jest czwarty — chemii. Doc. Roman Niedzielski jako rektor WSI działa w ścisłym związku z ośrodkami przemysłowymi Rzeszowszczyzny, poświecając wiele trudu, by ułatwić kształcenie kadr technicznych dla nich. Dowodem tego jest uruchomienie przez WSI punktów konsultacyjnych w Stalowej Woli i Przemyślu.

Nagrody zbiorowe: TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK w Przemyślu. Prowadzi od lat systematyczną, ożywioną i wielokierunkową działalność naukową nad dziejami ziemi przemyskiej. Było ono organizatorem Muzeum Ziemi Przemyskiej. Ma również duże zasługi w zakresie popularyzacji wiedzy o swoim regionie — urządza systematycznie sesje popularnonaukowe oraz cykle wykładów i prelekcji z tego zakresu.

TPN może poszczycić się osiągnięciami na polu wydawniczym. Wydało ogółem 10 tomów „Rocznika Przemyskiego" i rozpoczęło serię wydawniczą pod nazwą „Biblioteka Materiałów do Dziejów Ruchu Robotniczego". W kilku działających sekcjach Towarzystwa odbywają się systematycznie posiedzenia naukowe.

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Rzeszowie osiągnęła w ciągu 20-lecia swego istnienia duże sukcesy. Rozpoczynając pracę w niesłychanie trudnych warunkach lokalowych i kadrowych, przy bardzo szczupłym księgozbiorze uzyskała dziś jedno z pierwszych miejsc w kraju w zakresie upowszechniania czytelnictwa. Tylko w ostatnim pięcioleciu prawie połowa bibliotek powiatowych i miejskich oraz duża część bibliotek gromadzkich uzyskała piękne, nowoczesne lokale. Nastąpił również ogromny wzrost księgozbiorów w bibliotekach. Np. w roku 1950 księgozbiór bibliotek powszechnych w woj. rzeszowskim wynosił około 400 tys. woluminów, a w 1965 roku blisko 2,5 miliona. Pod tym względem WiMBP zdobyła jedno z pierwszych miejsc w kraju.

Znaczne osiągnięcia zdobył nagrodzony zespół w zakresie dokształcania podstawowej kadry bibliotekarskiej i w zakresie rozwoju służby informacyjno-bibliograficznej.

Dział Informacyjno - Bibliograficzny WiMBP przygotowuje w ciągu roku kilkadziesiąt opracowań i zestawów bibliograficznych, ogłasza również prace tego typu drukiem (np. „Bibliografia Rzeszowszczyzny"). Zasługą tej placówki w dziedzinie upowszechniania kultury i czytelnictwa jest organizowanie ogólnowojewódzkich imprez kulturalnych, takich jak: uroczystości związane z 50-leciem śmierci Jana Raka, chłopskiego poety z Husowa, zlot czytelników w Żarnowcu na 50-lecie śmierci Marii Konopnickiej i dwa zjazdy Pisarzy Ziemi Rzeszowskiej w 19[illegible] 1966 roku.

KIEROWNICTWO ZAWODOWEGO STUDIUM ADMINISTRACYJNEGO przy UMCS w Lublinie w osobach dr KAZIMIERZA SANDA, kierownika Studium i doc. dr WIESŁAWA SKRZYDŁY, prorektora UMCS i zastępcy kier. Studium.

Zorganizowali oni przed 8 laty punkt konsultacyjny ZSA i kierują nieprzerwanie dotąd jego procesem dydaktycznym z oddaniem i sumiennością. Dotąd 187 osób z terenu woj. rzeszowskiego uzyskało dyplomy studium, przy czym zdecydowaną większość stanowili pracownicy aparatu rad narodowych. Prowadząc seminaria z zakresu prawa administracyjnego i państwowego na Wydziale Prawa i w Zawodowym Studium Administracyjnym wymienieni profesorowie przyczynili się w dużym stopniu do powstania wielu prac magisterskich na tematy związane z rozwojem i pozycją rad narodowych, na przykładzie działania organów rad w Rzeszowskiem.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY „WIDNOKRĘGU" — dodatku społeczno-kulturalnego „Nowin Rzeszowskich" w osobach EDMUNDA GAJEWSKIEGO, MARII CECYLII GUZIOŁEK, KRYSTYNY ŚWIERCZEWSKIEJ, JANA GRYGLA i ZDZISŁAWA KOZIOŁA. Cytujemy fragmenty wniosku komisji o przyznanie nagrody. „W okresie 5 lat swojego istnienia „Widnokrąg" — jedyny tygodnik kulturalny w woj. rzeszowskim podejmował ważne problemy życia kulturalnego, społecznego i politycznego nie tylko Rzeszowszczyzny, ale i kraju.

Do ważniejszych akcji prowadzonych przez zespół redakcyjny należy cykl publikacji o rozwoju środowiska artystycznego i naukowego w Rzeszowie — popularyzacja działalności oraz inicjatywy w zakresie niemal wszystkich dziedzin życia kulturalnego, publicystyka na tematy nurtujące szkolnictwo wszystkich stopni oraz zainicjowanie dyskusji z zakresu stosunków międzyludzkich (humanizacja pracy) itp.

„Widnokrąg" udostępnił łamy pisarzom, poetom i pracownikom naukowym, zabiegał o skupienie wokół pisma szerokiego kręgu współpracowników społecznych, wśród których są także ludzie z innych regionów...".

Czesław Kłak

Z REWOLUCYJNYCH TRADYCJI PRZEMYŚLA

Z letargu politycznego wyrwało Galicję (tak nazywano ziemie zagarnięte przez Austrię mocą traktatów rozbiorowych w 1772 i 1795 roku) powstanie listopadowe. Na wieść o wybuchu rewolucji w Warszawie w zaborze austriackim potworzyły się komitety obywatelskie, które organizowały pomoc dla walczących powstańców. Stąd wysyłano broń, amunicję i żywność. Stąd grupami i pojedynczo przedzierali się przez kordon graniczny młodzi ludzie, by połączyć się z powstańczymi oddziałami.

Klęska nie osłabiła raz rozbudzonego patriotyzmu. Koniec wojny w Królestwie Polskim był zarazem początkiem ery spisków galicyjskich, które nieprzerwanie rozwijały się aż do Wiosny Ludów. Różne było ich oblicze ideowe, różne założenia organizacyjne, tło społeczne i zasięg terytorialny. Wszystkie jednak były wyrazem niezadowolenia z istniejącego od kongresu wiedeńskiego układu politycznego w Europie i reżimu metternichowskiego w Galicji, wszystkie w bliższej czy dalszej perspektywie stawiały sobie za cel walkę o wyzwolenie narodowe.

Spośród licznych ośrodków spiskowych na dość poczesne miejsce wysunął się w latach trzydziestych Przemyśl. Istniały ku temu sprzyjające okoliczności. Miasto było dość rozległe i jako stolica cyrkułu ruchliwsze od innych. Ponadto leżało na głównym szlaku prowadzącym do Lwowa, miało kilka szkół, z których najlepszą opinią cieszyło się gimnazjum, a także było siedzibą garnizonu. Młodzież i wojsko stanowiły o jego obliczu. Nieco przyciemniony obraz Przemyśla z tego okresu odnajdujemy w powieści Jana Zachariasiewicza „Boże dziecię": „Mimo rozległości swojej, nie miało to miasto wielu stałych mieszkańców (...). Prócz Żydów, kilkudziesięciu urzędników i jednego batalionu załogi nie było w mieście innych mieszkańców. Za to nadzwyczaj liczną była młodzież szkolna, a nawet zajęła przeważną liczbą swoją główne w mieście stanowisko". Atmosfera ekscytacji patriotycznej przenikała mury szkolne i zespalała dążenia większości uczniów, którzy bez względu na pochodzenie społeczne i zapatrywania polityczne swoich opiekunów brali udział w brawurowych manifestacjach narodowowyzwoleńczych.

Wbrew jednak pozorom, młodzież nie wcielała w życie jednolitego programu politycznego. Ścierały się tu dwie tendencje: umiarkowana i rewolucyjna. Wyznawcami pierwszej byli przywódcy Młodej Sarmacji, którzy obawiając się rychłego wybuchu powstania zbrojnego, próbowali studzić rewolucyjny zapał młodzieży. Najniższa komórka tej organizacji spiskowej znana pod nazwą Synowie Ojczyzny statutami swymi ograniczała energię młodzieży, stawiając przed nią jako cel bliższy krzewienie oświaty w duchu narodowym. Echa tych dążeń pobrzmiewają w cytowanej powieści Zachariasiewicza: „Talenta i uczucia szlachetne wzięły górę nad siłą fizyczną. Czytano książki złe i dobre, ale czytano coraz więcej, a wybierano coraz lepsze. Czytano pojedynczo i gromadnie, z dzieł robiono wypisy, pisano małe rozprawy, a nawet czasem przy powszechnych oklaskach odczytywano balladę rodzimą i młodego autora uwieńczano laurem przyszłego poety (...). Obok nauki udzielanej w salach ciemnych, wilgotnych, odbywały się odczyty pod jasnym lazurowym niebem, na wyniosłej górze lub w zielonej dolinie, dokąd zachodził tylko szmer poniżej płynącego Sanu (...). Najulubieńszym miejscem na te wspólne odczyty była ruina zamku, tuż nad miastem sterczącą. Omszałe jej mury były dla młodego pokolenia starganą kartą dawnej jakiejś kroniki, której głoski składały się z brył kamiennych, urągających czasowi i ludziom". Romantyczna sceneria i aura tajemniczości działały na wyobraźnię gimnazjalistów. Z lektur dużą popularnością cieszyły się w tym gronie awanturnicze, pełne grozy romanse szwajcarskiego pisarza H. Zschokkego, powieść Józefa Ignacego Kraszewskiego „Poeta i świat", poszczególne numery „Przy-

CIĄG DALSZY NA STR.

Z REWOLUCYJNYCH TRADYCJI PRZEMYŚLA

(Ciąg dalszy ze str. 1)

jaciela Ludu", ukazującego się w latach 1834—1849 w Lesznie, przemycane z zagranicy utwory Adama Mickiewicza. Lista ta, z całą pewnością niekompletna, pozwala ustalić krąg literackich i ideowych zainteresowań młodocianych spiskowców spod znaku Synów Ojczyzny. Miłość do ludu, poznawanie przeszłości narodowej, apoteoza poświęcenia jako najwyższej wartości moralnej człowieka, poza na oryginalność, to główne rysy portretu „studjoza" przemyskiego lat trzydziestych ubiegłego stulecia.

Mimo wyraźnie umiarkowanego programu sprzysiężenia Synów Ojczyzny, członkowie i sympatycy organizacji niejednokrotnie ulegali wpływom rewolucyjnym. Impulsy płynęły ze środowiska wojskowego. W Przemyślu od roku 1836 stacjonował 10 pułk piechoty Mazuchelli, złożony z oficerów i żołnierzy różnych narodowości, dalekich od lojalizmu wobec tronu cesarskiego. Dzięki temu infiltracja myśli rewolucyjnej w szeregi wojskowe była nader łatwa. Spiskowcy z kapralem Pragłowskim na czele dążyli do wywołania powstania zbrojnego w możliwie najkrótszym terminie. Wbrew zasadom konspiracji nie kryli się ze swoimi zamiarami. Dochodziło do tego, że żołnierze przechadzali się pod rękę z uczniami starszych klas gimnazjum, zamieniali dwugłowego orła austriackiego na orła polskiego, a orkiestra wojskowa na capstrzykach grała „Jeszcze Polska nie zginęła". Konspiratorzy kolportowali ulotki i broszury, nawołujące do zbrojnego czynu. Seweryn Łusakowski wspomina o tajnej drukarni, która znajdowała się w folwarku Targontówka (koło Przemyśla) dzierżawionym przez jego rodziców. Stamtąd wychodziły te, jak je wówczas nazywano, „niebezpieczne świstki". „Pamiętam tylko — pisze Łusakowski — że w domu zawsze było mnóstwo cudzych jakichś osób, a najwięcej oficerów z pułku Mazuchelli. Widzieliśmy, że była u nas drukarnia, i że coś się działo, ale co, pojęcia tego nie miałem. Widziałem tylko, że i bracia starsi, i ojciec, i ci obcy coś pisali, gadali, radzili, gdzieś jeździli, a byli i Niemcy oficerowie, i Czechy, i jakieś obdarte draby".

Prowokacyjne postępowanie spiskowców wojskowych rozpłomieniało umysły młodzieży i zachęcało ją do wystąpień będących manifestacją uczuć patriotycznych i wolnościowych. Nawet aresztowania i surowe wyroki nie były w stanie powstrzymać iście romantycznego zapału młodocianych konspiratorów. Henryk Bogdański należący do umiarkowanego skrzydła spiskowców wspomina z dezaprobatą: „Do tego nawet doszło, że wartogłowcy szukali chluby w dostaniu się do kozy, a po wypuszczeniu z triumfem mówili: przed moim uwięzieniem — po moim uwięzieniu". Nawet niektórzy nauczyciele solidaryzowali się ze swoimi uczniami, umiejętnie podsycając ich zapał patriotyczny. Nauczyciel Liskowacki otoczony gromadą gimnazjalistów żegnał więźniów politycznych prowadzonych pod silną eskortą słowami: „Nie bójcie się! My z wami! Jeszcze Polska nie zginęła".

W połowie grudnia 1839 roku spiskowcy przeszli od manifestacji do czynów. Justyn Begejowicz, uczeń gimnazjum przemyskiego, dokonał nieudanego zamachu na komisarza policji Franciszka Gutha. Guth był postacią szczególnie znienawidzoną przez patriotyczną młodzież. W latach 1836—1837, w czasie okupacji Krakowa prowadził śledztwo wśród akademików, odznaczając się niepospolitym sadyzmem. Przeniesiony do Przemyśla nie miał wprawdzie tak szerokiego pola do popisu, ale sława oprawcy sprawiła, że spiskowcy wydali na niego wyrok śmierci. Wykonawcę wyroku wybrano drogą losowania. Późniejszy pisarz Zygmunt Kaczkowski, uczeń z klasy Begejowicza, zanotował w pamiętniku: „Begejowicz był ze mną w jednej klasie. Był on o parę lat starszy od nas, zaczem słuszniejszy od wszystkich, silnie zbudowany, ciemny blondyn o twarzy rumianej i świeżej, zawsze poważny i w obyczajach surowy, [...] nie był lubianym między nami, bo był zanadto surowym, ale go pewien urok otaczał, bo szła wieść o nim, że należy do spisków. Postanowiono gdzieś w górze, że Gutha zamordować należy, wybrano trzech kandydatów do tego, pociągnięto losy, Begejowicz wyciągnął los i zamach wykonał". Po tym wyczynie, zdezorientowane władze austriackie, niepewne swojej pozycji i siły poniechały środków zmierzających do likwidacji spisku. Niemców mieszkających w mieście ogarnął strach przed rewolucją, która „zaczyna wojować krótkimi nożami". Ośmieleni wyczekującą postawą administracji państwowej spiskowcy pośpiesznie przygotowywali powstanie zbrojne, które miało rozpocząć się w Przemyślu.

Zanim jednak doszło do tego, policja wpadła na trop sprzysiężenia. W marcu 1840 roku nastąpiły pierwsze aresztowania. Pragłowski, pierwszy inicjator spisku wojskowego, czując niepewny grunt pod nogami, chroniąc przede wszystkim własną głowę opowiedział staroście przemyskiemu Czeczowi o zamierzeniach spiskowców. Zdemaskowano również sprzysiężenie Synów Ojczyzny. W czerwcu zjechał do Przemyśla prezydent gubernialny baron Krieg, który osobiście kierował akcją likwidacji spisków. „Pamiętam dobrze tę chwilę — wspomina Zygmunt Kaczkowski — bo był to prawdziwy dzień sądny, który zresztą trwał cały tydzień, gdzie nikt nawet nie śmiał pokazać się na ulicy, bo przez wszystkie ulice przeciągały tylko wojskowe patrole z najeżonymi bagnetami, a między nimi w środku jakiś student lub inny człowiek cywilny często ze związanymi sznurem rękami. [...] Przez kilka nocy nikt w mieście oka nie zmrużył, modlono się i jęczano, kobiety się zanosiły od płaczu i mdlały, inne obiegały drzwi starosty, komisarzy i inkwizytorów, których rząd przysłał ze Lwowa. [...] Zgoła płacz, jęk i lament i niewysłowiona rozpacz po całym mieście, bo prawie nie było polskiego domu, z którego by kogoś nie porwano i nie powleczono do więzień. [...] Aresztowanych wojskowych przykuwano do ich łóżek w koszarach, cywilnych pakowano do policyjnego aresztu, studentów do klas, które opróżniono do tego celu, a oprócz tego budowano na prędce [...] małe kazienki, co najwięcej na jeden sążeń długie i szerokie". Po wstępnych przesłuchaniach część zatrzymanych zwolniono, a resztę przewieziono do Lwowa, gdzie przez dwa lata trwało uciążliwe śledztwo. Wobec tych, którzy odmawiali zeznań władze policyjne stosowały brutalne środki. Posadzka kaźni niejednokrotnie zalana była krwią, co potwierdzają liczne relacje pamiętnikarskie. Niektórzy więźniowie w chwilach depresji popełniali samobójstwo. Wielu z nich opuszczało mury więzienia śledczego z ciężkimi urazami psychicznymi. Dziesięciu więźniów cywilnych z Przemyśla (większość stanowili uczniowie gimnazjum) sąd skazał na wieloletni pobyt w najcięższym więzieniu stanu, w Spielbergu. Jan Zachariasiewicz, który znajdował się wśród skazanych po wielu latach wspominał: „Metternich uważając, że moja osoba oraz kilku moich rówieśników, tak samo gołowąsów, zagrażają całości i bezpieczeństwu cesarstwa austriackiego kazał nas osadzić w twierdzy, której jak na urągowisko dano nazwę Góry Zabawy — Spielberg. Boże uchowaj każdego od takiej zabawy, jaką myśmy mieli w tym strasznym więzieniu, które w pierwszej połowie stulecia zdobyło sobie rozgłos złowrogi. Mieszkaniem naszym przez lat kilka była ciemna cela, a właściwie piwnica z zakratowanym okienkiem umieszczonym wysoko, na równi z poziomem dziedzińca. Słońce nie zaglądało do niej nigdy, a światło było tak skąpe, że z trudnością można było czytać. [...] Trzeba zaiste być potworem jak Metternich, żeby tak okrutnie znęcać się nad dziećmi".

Terror nie złamał przemyślan, choć na jakiś czas zahamował działalność spiskową. W okresie Wiosny Ludów z Księgarni Braci Jeleniów w Przemyślu wyszedł ciekawy druk dwujęzyczny (polski i niemiecki) „Oda do młodości" Adama Mickiewicza jako symbol rozgorzałej na nowo walki.

Nasuwa się tu pewna analogia. Poczynania młodzieży przemyskiej lat trzydziestych ubiegłego stulecia przypominają wydarzenia wileńskie, z czasów procesu Filomatów. I tam i tu młodzież włączała się w wir politycznej walki o byt narodowy, i tam i tu walka ta uznana została przez zaborców za szczególnie niebezpieczną, i tam i tu rozprawiono się z młodzieżą za pomocą knuta. Wśród Filomatów był jednak Mickiewicz, który ich cierpienia przedstawił narodowi w genialnych scenach III części „Dziadów", a o cierpieniach młodzieży przemyskiej zapomniano.

CZESŁAW KŁAK

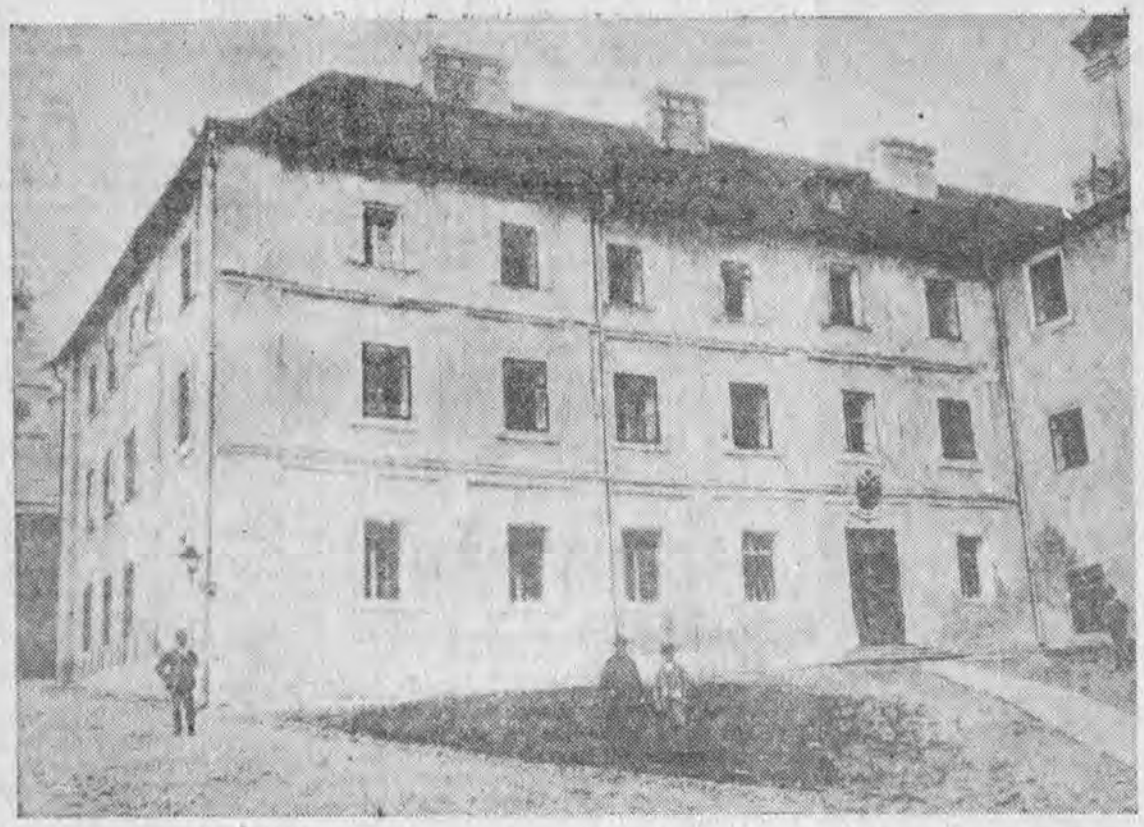

Gmach dawnego gimnazjum w Przemyślu

Zdzisław Kozioł

PRZECIW DOWOLNOŚCI

Na jednej z konferencji prasowych w Głównym Urzędzie Statystycznym poinformowano dziennikarzy o licznych problemach aktualnej działalności Urzędu oraz zamierzeniach na przyszłość. Sporo uwagi poświęcono wówczas zagadnieniu pozornie mniej ważnemu, a mianowicie „dzikiej", nielegalnej sprawozdawczości, którą jeden z referujących nazwał plagą społeczną. Obszernie omawiano znaczenie sprawozdawczości, rolę statystyki jako narzędzia kierowania życiem gospodarczym i społecznym kraju, umiejętność korzystania z opracowań statystycznych, głównie przez jednostki gospodarcze oraz terenowe organa władzy wykonawczej.

O rozmiarach nielegalnej sprawozdawczości świadczą chociażby wyniki kontroli przeprowadzonej w 98 instytucjach i przedsiębiorstwach, w których za jeden tylko kwartał ujawniono 480 tego rodzaju sprawozdań.

Wesołość na sali wywołały przykłady z woj. rzeszowskiego: m. in. placówki gastronomiczne sporządzały szczegółowe zestawienia zjedzonych przez konsumentów zup. Kontrolerzy nie bez trudu znaleźli szafę, w której magazynowano sterty mozolnie wypełnianych formularzy, a pracownik opiekujący się tym „zbiorem" przyznał, że dotychczas nikt z niego nie korzystał, ale przecież prezes może zapytać kiedyś o upodobania konsumentów zup...

Najczęściej różnorodnych sprawozdań żądają zjednoczenia lub inne jednostki zarządzające przedsiębiorstwami, ale nie bez winy są także prezydia rad narodowych. Analiza ujawnionych przez GUS nielegalnych sprawozdań wskazuje, że zjednoczenia domagają się często informacji absolutnie zbędnych, bądź też danych zawartych już w oficjalnej sprawozdawczości, którą sporządza się na blisko 500 formularzach Głównego Urzędu Statystycznego oraz przeszło 2 000 resortowych, zatwierdzonych przez GUS. Wszelkie inne sprawozdania są nielegalne, za co przepisy przewidują sankcje karne w postaci grzywny. Przeciwko tym praktykom można wytoczyć sporo dział dużego kalibru; wprowadza to dezorganizację, pochłania czas setkom pracowników, obniża powagę oficjalnej statystyki.

Obserwujemy liczne przykłady świadczące o niezrozumieniu jej znaczenia, nieumiejętności posługiwania się materiałami statystycznymi syntetycznie i analitycznie opracowanymi, żenującym ignoranctwem w tym zakresie, przy jednoczesnym braku zaufania do oficjalnej statystyki.

Wkraczam jednak w problematykę szerszą, a interesują mnie tym razem niektóre aspekty statystyki terenowej. Ale skoro wymknęły mi się spod pióra pewne oceny ogólne, to trzeba dodać, że jesteśmy świadkami wzmożonej, powiedziałbym nawet, ofensywnej działalności Głównego Urzędu Statystycznego i podległych mu jednostek terenowych. Nie będę tu pisał o licznych badaniach podejmowanych na zlecenie rządu czy organów planowania, bo sprawy te wymagają cyklu artykułów. Niejako zewnętrznym efektem aktywności GUS są liczne publikacje, a także — co trzeba też podkreślić — wysiłki zmierzające do upowszechnienia w społeczeństwie wiedzy o statystyce, warunku sine qua non zrozumienia korzyści, jakie dostarcza ta dyscyplina nauki ściśle związana z praktyką.

Asumptem do działalności propagandowej, mającej w dużej mierze charakter popularyzatorski, jest również zbliżający się jubileusz 50-lecia istnienia GUS. Dodać tu jednak trzeba, że tradycje polskiej statystyki są znacznie starsze.

Badania statystyczne podjęto w Polsce już w XVI wieku, kiedy to dokonano pierwszego, częściowego spisu ludności, a komisarz skarbowy i sekretarz królewski Jakub Kazimierz Haura wydał w 1675 roku książkę, w której podał m. in. przepis na statystyczne obliczania plonów zbóż w oparciu o dane reprezentacyjne. J. K. Haura uchodzi za prekursora teoretyków i praktyków statystyki.

Skoro już mówimy o tradycjach, to warto jeszcze wspomnieć o dużym dorobku przedwojennego GUS, w którym do pracy zaangażowani byli wybitni uczeni m. in. Józef Buzek, Jan Rutkowski, Antoni Sujkowski, Benedykt Bornstein, Stefan Szulc, Marcin Nadobnik, Edward Szturm de Sztrem, Ludwik Landau, Samuel Fogelson. Szczególne jednak zasługi położył Ludwik Krzywicki, autor przepisu prawnego, w oparciu o który w 1918 roku powołano Główny Urząd Statystyczny.

Działalność przedwojennego GUS miała charakter jak najbardziej postępowy. „Zdołano wówczas — pisze dr Wincenty Kawalec, obecny prezes GUS — bezstronnie przedstawić wiele problemów nękających kraj w tym okresie: bezrobocie, strajki i lokauty, nędzne warunki mieszkaniowe klasy robotniczej, analfabetyzm, udział obcego kapitału w gospodarce. Obrazowano też takie zagadnienia, jak brak miejsc w szkołach, czy tzw. „zbędną" ludność w gospodarstwach chłopskich itp." („Życie gospodarcze" nr 31).

Warto podkreślić, że już wówczas polska statystyka znalazła duże uznanie na forum międzynarodowym, czego wyrazem było chociażby powierzenie GUS-owi organizacji XIX Sesji Międzynarodowego Instytutu Statystycznego w 1929 roku. Międzynarodowa pozycja polskiej statystyki jest obecnie umocniona, kontakty wydatnie rozszerzone, a w niejednej dziedzinie Polska spełnia rolę wiodącą.

Uznaniem za granicą cieszą się rozliczne publikacje oraz prace o charakterze metodologicznym. Dla

Cecylia Błońska

PIEKŁA DNI POWSZEDNIE

Obwolutę do książki Wandy Melcer projektował rzeszowski artysta plastyk Roman Prokulewicz.

W ponad ćwierć wieku od tragicznego września, ów prolog narodowego dramatu nadal zajmuje wyobraźnię pisarzy, powraca na kartkach książek świeżo publikowanych. Do tego miesiąca rozpoczynającego długie lata cierpień, zbrodni na podbitym narodzie i piekła jego niewoli, powraca Wanda Melcer w książce „Wrzesień kobiety", która

I IMPROWIZACJI

przykładu: „Rocznik Statystyczny GUS" zaliczany jest do grupy najlepszych w świecie; opinię tę zyskał nie tylko dzięki zakresowi zawartego w nim materiału informacyjnego czy sposobom jego prezentacji, ale także dzięki współczynnikowi aktualności. Otóż polski „Rocznik" zawiera 94 proc. tablic z danymi za rok poprzedni, podczas gdy np. angielski — 87 proc., francuski — 85 proc., szwedzki — 56 proc., a zachodnioniemiecki zaledwie 50 proc.

Dorobek polskiej statystyki jest wynikiem pracy wielu tysięcy ludzi. Formularze w blisko 100 tys. jednostek sprawozdawczych — poczynając od ministerstw, przez spółdzielnie, biblioteki, szkoły itp. — wypełnia ponad 600 tys. pracowników. Uwzględnić trzeba także wielotysięczną rzeszę korespondentów rolnych i ogrodniczych, którzy dostarczają informacji o aktualnej sytuacji w rolnictwie. Wysiłek tej armii ludzi, zwielokrotnionej w okresach spisu powszechnego, wymaga analitycznego opracowania, by poprzez stronę ilościową ukazać jakościowy charakter zjawisk i procesów. A że do GUS-u wpływa rocznie około 260 tys. bieżących sprawozdań zawierających blisko 131 mln pozycji liczbowych, wyłania się konieczność dalszej mechanizacji prac obliczeniowych, a nawet instalowania w centrach obliczeniowych maszyn elektronowych. Polscy statystycy dysponują jednak gorszym wyposażeniem technicznym niż statystycy w wielu innych krajach, w których zakres badań jest często niewspółmiernie mniejszy.

Na wysokim poziomie jest w Polsce statystyka ludności, przemysłu i rolnictwa, a np. badania w zakresie statystyki dochodu narodowego są bardzo cenione przez zagranicznych specjalistów. Mniej jednak korzystnie — co podkreśla także dr W. Kawalec — na tle światowym przedstawia się rozwój statystyki społecznej. Statystyka polska ma w pewnym sensie charakter jednostronny, aktualnie podejmowane zadania dotyczą głównie realizacji planów gospodarczych i budżetu państwa, mniej natomiast wnika się w procesy społeczne. W wielu dziedzinach jesteśmy rzeczywiście skazani na fragmentaryczne dane, względnie tylko przykłady, które — jak wiadomo — można dobierać dla uzasadnienia z góry wysuwanych twierdzeń.

Brak wyczerpujących danych wyraźnie odbija się na treści wielu prac z dziedziny nauk społecznych, np. socjologii wsi. Chociażby problem ludności wiejskiej zatrudnionej poza rolnictwem oraz społeczne i gospodarcze skutki tego zjawiska, których znajomość nie jest jeszcze wystarczająca, co często rodzi zbyt daleko idące uogólnienia. Wprawdzie wspominam o tym zagadnieniu tytułem przykładu, ale zasługuje ono na baczniejszą uwagę, gdyż wokół grupy społeczno-zawodowej nazwanej niezbyt fortunnie chłopo-robotnikami (niektórzy wprowadzają nawet termin: chłopo-urzędnicy!), narosło sporo nieporozumień rzutujących m. in. na działalność ogniw partii i organizacji społecznych.

Zjawisk, które czekają na badania statystyczne, jest sporo, ale jak już wspomniałem, sprawą bardzo istotną jest wykorzystywanie już istniejących opracowań oraz bieżącej sprawozdawczości. Chodzi w tym wypadku głównie o statystykę terenową, która w planach GUS zajmuje coraz więcej miejsca. „Dzika" sprawozdawczość dowodzi, że zjednoczenia czy organa terenowej władzy wykonawczej często nie umieją posługiwać się materiałami sporządzanymi przez wojewódzkie urzędy i powiatowe inspektoraty statystyczne. Spotykałem się nawet z licznymi przykładami, że np. przedsiębiorstwa przekazują władzom inne dane w sprawozdaniach, inne zaś urzędom i inspektoratom statystycznym. Nie będzie przesadne twierdzenie, że kierownictwa przedsiębiorstw i instytucji usiłują niekiedy po prostu ukryć przed w ł a d z ą stan faktyczny, władza zaś dająca się w ten sposób okłamywać, zdradza po prostu ignorancтwo. Nie zamierzam uogólniać, odnotowuję tylko znane mi przykłady, które nie są chyba odosobnionymi. Wskazują one na występujące jeszcze dowolności i improwizacje w zarządzaniu.

O sprawach tych rozmawiałem z przedstawicielami Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego. Dyrektor Urzędu, Wincenty Wiśniewski, był ostrożny w ocenianiu tych zjawisk, zwracał głównie uwagę na — jego zdaniem — widoczny postęp. Władze powiatowe i wojewódzkie otrzymują dwa razy w miesiącu syntetycznie opracowane informacje o wykonywaniu planów produkcyjnych. Jest to w pełni — podkreślają moi rozmówcy — wiarygodny materiał. Wspomnianej zaś dowolności i improwizacji przeciwdziałają np. komisje analiz ekonomicznych, działające przy powiatowych instancjach partyjnych.

Materiały statystyczne są rzeczywiście cennym źródłem do analiz ekonomicznych, sygnalizują szereg nieprawidłowości w realizacji zadań produkcyjnych; m. in. ujawniają tendencje przedsiębiorstw do wykonywania planów globalnych z naruszeniem asortymentowym, co w wielu wypadkach dotkliwie godzi w konsumentów, którzy nie znajdują na rynku poszukiwanego towaru.

Terenowe placówki statystyczne przeprowadzają, poza bieżącą sprawozdawczością, wiele innych badań. Cennym dokumentem była np. analiza „drogi młodzieży do szkoły", która wykazała ilu uczniów dojeżdża i dochodzi do szkół, jaką pokonuje odległość, z jakich środków lokomocji korzysta itp. Badania te dotyczyły wprawdzie zjawiska znanego, ale po raz pierwszy ukazały jego rozmiary, unaoczniły pilną konieczność zwiększenia wysiłku, celem rozbudowy sieci internatów.

Podobnych przykładów można by podać więcej, chociażby z dziedziny rolnictwa; bardzo dużą rolę spełniają korespondenci rolni i ogrodniczy, którzy społecznie przekazują różnorodne informacje dotyczące stanu i rozwoju gospodarki indywidualnej. Dyrektor Wiśniewski wyrażał się z dużym uznaniem o ich uczciwości i obowiązkowości, niepokoił go jednak fakt, że wśród korespondentów jest zbyt mało ludzi młodych, przeważają osoby w wieku 40—60 lat.

Postęp w statystyce terenowej uwidacznia się również w mechanizacji prac obliczeniowych. Naszym marzeniem jest — mówi kierownik Stacji Techniki Statystycznej, mgr Zbigniew Mucha — by jak najwcześniej opracować zebrany materiał, co decyduje o operatywności statystyki. Podobne stacje zorganizowano już w kilku województwach, ale postęp w statystyce terenowej nie może się ograniczyć jedynie do mechanizacji. Prezes GUS, dr Wincenty Kawalec, podkreśla, że zachodzi konieczność reorganizacji, co wiąże się z szerszym problemem usprawnienia systemu obiegu sprawozdawczości i jej ujednolicenia. Nie wnikając w szczegóły, wystarczy wskazać, że GUS zmierza do pełniejszego przystosowania statystyki do potrzeb władz terenowych. Wyłania się tu wiele problemów organizacyjnych, kadrowych, a także metodologicznych, związanych z opracowywaniem i prezentacją materiału statystycznego.

* * *

Zwróciłem uwagę na niektóre problemy polskiej statystyki; traktuję je raczej jako przykłady obrazujące jej zadania, które stale wzrastają. Pamiętajmy bowiem, że GUS nie tylko przygotowuje się do jubileuszu, ale czeka go wkrótce, bo już w 1970 roku, bardzo poważna akcja — kolejny spis powszechny.

Na zakończenie jeszcze jedna sprawa. Wspominałem o przejawach braku zaufania do statystyki; zdarzają się wypadki, które mogą poddawać w wątpliwość wiarygodność wielu materiałów. Np. w jednej z miejscowości spis rolny wykazał tyle kur, że — uwzględniając stan skupu jaj w miejscowym GS-ie — każda czubatka musiała dziennie znosić po 2—3 jajka... Błędy te są następstwem fałszywych informacji udzielanych komisarzom spisowym. Stosuje się więc weryfikacje materiałów, m. in. poprzez badania kontrolne; konieczna jest również wzmożona akcja uświadamiająca, by rolnik czy inny informator wiedział dla jakich celów udziela informacji. Dlatego podkreślałem uprzednio wagę działalności popularyzatorskiej Głównego Urzędu Statystycznego, znaczenie upowszechniania w społeczeństwie wiedzy z zakresu statystyki.

ZDZISŁAW KOZIOŁ

Franciszek Kotula

KOMPLEKSOWE BADANIA NAD KULTURĄ

Rok 1966 jest dla Działu Etnograficznego Muzeum w Rzeszowie jubileuszowym. Minęło bowiem 10 lat od zorganizowania badań nad ludową kulturą rzeszowskich grup etnograficznych. Badaniom podlegały ściśle określone tereny oraz różne zjawiska kultury ludowej; tak materialnej, jak i duchowej. W tych dziesięciu latach zorganizowano w sumie 15 tzw. „Obozów naukowo - badawczych", w niektórych latach było ich i po kilka. Rezultatem tej akcji są bogate archiwa Działu Etnograficznego, a to: sprawozdawcze (pisemne), ikonograficzne (rysunki i akwarele), fotograficzne i taśmy magnetofonowe.

„Jubileuszowy" obóz w roku 1966 — od 4 do 18 VIII — znalazł bazę w Rzemieniu, w tamtejszym Technikum Rolniczym (pow. Mielec), a badaniami objął część doliny Wisłoki, prawie od Dębicy po Mielec. Ekipa składała się z 18 osób, w większej części pracowników naukowych. Tematami badań objęte było osadnictwo i historia terenu, podania i legendy topograficzne, podania, geografia i fizjografia, rodzaje wsi i toponomastyka, budownictwo i zagrody, obrzędy i zwyczaje, magia i demonologia, lecznictwo ludowe, literatura ludowa w różnych przejawach, folklor muzyczny, plastyka w różnych przejawach, sprzętarstwo, rzemiosło ludowe itp.

Jednym z zasadniczych celów badań było ustalenie — przynajmniej w przybliżeniu — granic stykających się tu kilku grup etnograficznych. Nie ubiegając ostatecznej syntezy opartej na wynikach badań poszczególnych uczestników — zwłaszcza nad gwarą, budownictwem i strojem — z zastrzeżeniami można zasygnalizować: grupa, którą roboczo nazywa się Wschodnimi Krakowiakami przekroczyła Wisłokę, być może, jeszcze w średniowieczu, i dotarła aż do zewnętrznego krańca Sandomierskiej Puszczy, której szeroki pas rozdziela dolinę Wisłoki od płaskowyżu kolbuszowsko - sokołowskiego. Równocześnie stwierdzono, że Lasowiacy tu i ówdzie przekroczyli pierścień puszczy i na jego zewnętrznej stronie zetknęli się z Krakowiakami na wschód od Wisłoki.

Poprzednie przypuszczenia, a nawet hipoteza, że między Lasowiakami, Rzeszowiakami, Podgórzanami a Wschodnimi Krakowiakami znajduje się odrębna grupa, zdaje się, znalazły potwierdzenie. Byłaby to grupa w okolicy miast: Pilzna, Dębicy i Ropczyc.

I oto problem: jak nazwać — naturalnie na roboczo tę bardzo ciekawą grupę? Ropczycanie? A może inaczej Pilźnianie? W związku z tym problemem planuje się urządzenie specjalnego obozu dla jego sprecyzowania.

Na pewnym odcinku granica wydaje się być bardzo wyraźna. Stary człowiek, Żdżar, w pow. Ropczyce, wieloletni gajowy, który w ciągu dziesiątków lat stykał się z ludźmi z okolicy, Ludwik Rokosz twierdzi: „Lesioki to Ocieka i Wola, Żdżary, Kamionka, Ruda. Cierpisz, Czarna... a już inny naród, to Witkowice, Ostrów, Borek Wielki...

— A wy tamtych jak nazywacie?

— „Bobowioki" — odpowiedział bez namysłu: — A za to, że oni tam sadzą dużo bobu.

„Bobowioki", to typowe przezwisko, jakie często spotyka się na wsiach; z tym że zazwyczaj odnośnie do jednej wsi W tym wypadku przezwisko odnosi się do całej grupy wsi, jasno wytycza granicę między grupami. A trzeba wskazać, że ta linia jest również granicą dwu różnych krain fizjograficznych.

Przebadany w czasie obozu teren, jeśli chodzi o plastykę ludową, strój — lapidarnie można powiedzieć: ubóstwo. I może nawet nie dlatego, że kultura ludowa jest w daleko posuniętym zaniku. Wydaje się, że w samej swej istocie była ona uboższa w stosunku do innych regionów, chociażby Lasowiaków. Już budownictwo przejawia znacznie więcej ciekawych form. Natomiast najbogatszy jest tutaj obrzęd i folklor słowny. I właśnie tutaj najboleśniej odczuwa się niszczące działanie różnych czynników.

* * *

W badaniach kompleksowych dokonuje się czasem nieoczekiwanych a nawet wręcz rewelacyjnych odkryć. Otóż w Rzochowie — miejscowości, która w XIV w. była miastem, a dziś nie ma nawet prezydium GRN — w domu Popielów, rodziny znanej z działalności społecznej, znajduje się szklany dzban, zdobiony systemem trawieniowym. Wkrótce okazało się, że dzban jest nie tylko datowany — 1879 — ale właścicielce dobrze jest znany jego rodowód. Co więcej, kiedyś kom-

(Ciąg dalszy na str. 5)

ukazała się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Wrzesień zastaje bohaterkę opowieści w Paryżu, gdzie w obliczu nadciągającej zawieruchy wojennej rozstaje się z mężem — naukowcem (oceanografem), by chroniąc go od ewent. mobilizacji, połączyć się z małymi synkami, których pozostawiła w kraju. Sceny pożegnania, których tłem jest efektowny krajobraz paryskiej ulicy, paryskiego dworca, szybko ustępują miejsca realiom polskiego września. Tak nie dawno jeszcze szczęśliwą, kochaną i kochającą mężatkę już osamotnioną, z miejsca wciąga wir wojennych przeżyć. Jedzie z dziećmi pociągiem naiwnie przekonana, że zdoła umknąć grozie bombardowań; z wagonów mozolnie przemykających się wśród morza ognia wyskakuje z chłopcami, by przeżyć ów pogodny, słoneczny, upalny nieomal wrzesień 1939 roku na rozwalonych bombami drogach, wśród chłopów, obraz niechętnej przyjmujących skończącą się, głodną rzeszę uciekinierów z miast, na króciutkich postojach w polskich dworach, trudzących się obliczaniem zakrawających „[illegible]skich" śniadanek, [illegible] widoków wspaniałymi

[illegible] relacji, odtworzonej z [illegible] fragmenty nie [illegible] tracą, nabierając swą [illegible] tych wszystkich, którym podobnie jak pisarce, ówczesny wrzesień zawalił świat. Mamy na myśli, z niewątpliwym talentem oddany, kontrast między zgrozą wojny a olśniewającą bujnością tamtej jesieni, jej skrzącą słońcem pogodą, między chwilami złudnej ciszy trafiającej się na wiejskich traktach, w zielonych zagajnikach leśnych, w chłopskich zagrodach, które właśnie zwiozły plony, gdy ludziom uciekającym ze zbombardowanych miast wydawać się może, że niebezpieczeństwo zostawili poza sobą. Za godzinę lub dwie wyczają ich niemieckie samoloty, nie raz, nie dwa wrąży lotnik obniży lot maszyny, by tuż nad ziemią ścigać wlokącą się z dziećmi bezbronną kobietę, by dowieść celności swego strzału, kładąc trupem chłopa idącego w pole.

Trafność obserwacji znamionuje książkę, która wbrew temu co sugerowałby tytuł, obejmuje cały okres okupacji, przeżywanej przez główną postać „Września kobiety" w Warszawie. Jest wiele rzetelnej prawdy w tej pozycji, mającej bynajmniej niełatwy start wśród wielkiego wyboru wywołanych dzieł literatury wojennej: nie siląc się na epos, autorka przekazuje czytelnikowi rzeczywisty obraz dnia codziennego, zwyczajnego warszawskiego inteligenta, p o w s z e d n i o ś ć z dna piekieł.

Przywykliśmy raczej wspominać ten czas z perspektywy wielkiej szarży, czynów zasadniczych, historycznych sabotaży, zamachów, które przeszły do dziejów i legendy. Często w filmie stolica z pierwszych lat okupacji jawi się jako jednolite zbiorowisko ludzi uzbrojonych, stawiających nieugięty opór, walczących od świtu do nocy.

Autorka opisuje natomiast z w y c z a j n e dni tego strasznego czasu, jakie stały się udziałem inteligentki, kobiety obarczonej dziećmi i odpowiedzialnością za nie. Pragnie ukazać ją na tle warszawskiej społeczności, z największym trudem godzącej się z jarzmem niewoli, z nienawistną obecnością wroga, z nieustannym niebezpieczeństwem, z nędzą, w której Niemcy pogrążali naród, by stłumić w nim wszelkie odruchy walki, porywy buntu.

Wracają na pamięć głodne kuchnie, rozmaite komitety próbujące ratować od całkowitego zagłodzenia niezdolnych do handlu przedstawicieli inteligencji, ich niezaradne rodziny, które nie potrafią spekulować, za nic nie chcą u k ł a d a ć się z Niemcami. Można sobie przypomnieć godziny wśród mroźnego świtu, gdy wyczekiwało się pod zaciemnionymi piekarniami na ochłap trocinowego chleba, bezsilne przekleństwa, a przed wynędzniałym tłumem, szydząc z jego upokorzenia i niewoli, raz po raz maszerujące hitlerowskie hieny, odziane w ciepłe mundury, uzbrojone po zęby, pilnujące porządku. Są takie momenty kompletnego otępienia, ogłupienia, beznadziei, gdy wygłodniały tłum skłonny jest przyznać rację Niemcom, wymierzającym krwawy sąd wyrostkowi za to, że ukradł bochenek chleba przeznaczony dla polskiej piekarni. Te wszystkie codzienne udręki, żebraniny o parę pończoch, o cieplejszy przyodziewek dla dzieci, o bony na zupę, dni, które wydają się nie mieć końca, przecinane brutalnie policyjną godziną, strach o życie dzieci, są udziałem samotnej matki, bohaterki „Września", której małżonek tymczasem b a w i w Londynie.

Sporo uwagi, literackiego wysiłku Wanda Melcer poświęca wątkowi lirycznemu, smutkom, miłosnym wspomnieniom; wojenne niedole zwiększa tęsknota za ukochanym mężem i — zanim nadejdą od niego pierwsze listy — niepokój o jego życie. W tej warstwie rozstań jest również spory ładunek spraw typowych dla rodzin rozdartych przez nieubłagane działanie wojny. Całkowicie natomiast zbędna, chwilami anachroniczna wydaje się burzliwa spowiedź i spontaniczne wynurzania bohaterki ze swych czysto fizycznych doznań i tęsknot, jakie budzi w niej oddalony morzami mężczyzna.

Są nawet próby tłumaczenia snów, cała teoria Freuda adaptowana na użytek eksplikowania niespełnionych pożądań — wszystko to modne, gdy autorka rozpoczynała swą karierę pisarską w międzywojennym dwudziestoleciu, już wówczas znalazło swój bardziej drapieżny czy drastyczny wyraz w „Zmorach" Zegadłowicza, wyczytywanych skrzętnie z wypiekami na twarzy pod szkolną ławą przez gimnazjalistów, w przeżyciach Rebeki Tamtenowej

(Ciąg dalszy na str. 4)

Dowód — jeden z wielu — z pieczątką SOD, uprawniający Straussa-Marko do wstępu o każdej porze na teren hitlerowskich zakładów lotniczych

Krystyna Świerczewska

◆ TURYŚCI JEDNODNIOWI ◆ TARGOWISKO CYWILIZACJI

KOPENHAGA (II)

„Ponieważ nie ma mnie w Warszawie — mam przykre uczucie, że nie ma mnie nigdzie" — napisał Kazimierz Brandys z podróży do Włoch, a ja się zastanawiam, czy to przypadkiem nie z tego poczucia obcości bierze się chęć szukania tego, co przypomina Polskę, co z nią w jakiś sposób splątane, czy bodaj odrobinkę ją przybliża.

Dlatego opuszczam w Kopenhadze — mieście co zagarnęło czwartą część mieszkańców całej Danii, dzielnicę geometrycznych sukien i bosych kobiet i jadę tam, gdzie zachowało się kawałątko historii Polski w kamiennym kształcie — do Muzeum Thornvaldsena.

Jadąc, mijam maleńki, stary stateczek zakotwiczony na kanale, który przełożył nad piękne kamieniczki nauczyciel szkolący kierowców i mieszka w nim od lat (oczywiście tę namiętność do wody zachował po rybakach-ojcach), mijam kolorowe domki w zieleni o dziwacznym, niesymetrycznym rozmieszczeniu okien, które tworzą przytulną dzielnicę dogasającej starości i są wynajmowane za skromne 200 koron miesięcznie emerytom; po drodze słyszę co chwilę „żłobek tu, żłobek tam", pomiędzy nimi liczne przedszkola i nie mam wpływu na wykład przewodniczki o znakomitej roli wychowawczej tych instytucji, w którą dawno uwierzyły i mocno popierają nie tylko pracujące Dunki.

Płynie obok mnie ulica nieco obca, która dokądś się spieszy, w licznych rozgałęzieniach pokazując nagle cudeńka, jak choćby to z Kościołem Luterańskim i wysoką złotą wieżycą, okręconą spiralnie wijącymi się schodkami na zewnątrz (nie weszłabym na to, choćby dopłacali za tę karkołomną przyjemność); na Ratuszu stoi wdzięcznie wysunięta ku przodowi złota dziewczynka z rowerem, imponującej zupełnie wielkości, mająca znamionować piękną pogodę, a pod daszkiem schowana jest druga, z parasolem (mam szczęście, bo w deszczowej Danii mieszkańcy są przyzwyczajeni raczej do tej drugiej); mijam najstarszą giełdę świata (1640), zresztą czynną do dziś, o urodzie renesansowego pałacyku, na dachu którego plączą się spatynowane mgłami bronzy lwów i złoto-zielonych wież; mijam słynny Crasbergbrowar, który mecenasuje swoimi dochodami sztukom pięknym; mijam zwodzony most na kanale, który w ten pogodny dzień wyrasta przed nami jak wielka zapora, unosząc się do góry, by przepuścić płynący statek. I coś dziwnie znajomego, powiem — polskiego, wieje ku mnie z gadki o kopenhażanach skazanych na przechodzenie tym mostem, który dość często, ale zaledwie na dwie minuty, unosi się ku górze, tworząc zaporę przed ruchem pieszym i mechanicznym, kiedy ci tłumaczą swoje półgodzine, a czasem i dłuższe spóźnienia do pracy właśnie jego podniesioną ścianą...

A później już wkraczam w świat rzeźbiarza Thornvaldsena, który dał Polsce powód do plotkowania o rozebranym księciu Józefie, co dziś stoi sobie w Łazienkach, podarowany ponownym gestem przyjaźni Duńczyków z odlewu kopenhaskiego muzeum i stanowi żywą aklamację zwycięstwa sztuki oraz przyjaźni nad barbarzyńskimi poczynaniami hitlerowców, w tym muzeum, gdzie polskie nazwisko wcale nie należy do rzadkości; są tu bowiem oprócz masywnego księcia Pepi i wielki toruńczyk — Kopernik i piękne popiersia Potockich i nawet napis polski — „otwarte od 10—18".

Muzeum, które szczyci się niejedną ciekawostką, jak choćby cementowe, barwne malowidła na zewnętrznych ścianach, jak choćby niepowtarzalną atmosferą autentyku, którą stwarza grób starego mistrza na dziedzińcu — to muzeum olśniewa monumentalnością dzieł rzeźbiarza, który ukochał antyk na tyle, że próbował lansować go w czasach wcale antykowi nie sprzyjających, a nawet wręcz mu nieprzyjaznych.

Kopenhaga — Tivoli

Myślę sobie jednak, że i my Polacy chętnie dołączamy swoje wzruszenie do pietyzmu Duńczyków, jakim ci ostatni darzą swego narodowego artystę...

Unurzawszy się w atmosferze kulturaliów — znowu pędzę na poszukiwanie przeciętnego Duńczyka, zresztą wcale nie rezygnując z tropienia śladów polskości — choć jej tu nie za wiele i udaję się na południe miasta, coraz bardziej obcego wszelkim dyskusjom nad sensem filozofii i sztuki, gdzie uplasowała się cudowna Tivoli — serce Kopenhagi — ogrody jarmarku, sensacji i najznakomitszej sztuki operowej, baletowej, teatralnej oraz muzycznej. Tam właśnie jest przeciętny świat kopenhaskiego mieszczanina, oszczędnego, dobrze ubranego, który wybiera kiosk z parówką w miejsce 23 restauracji tivolskich, gdzie króluje pustka i kosze kwiatów, wazony kwiatów, niemal drzewa kwiatowe.

Śmieszne, poczciwe, zabawne, trochę szalone wesołe miasteczko z rykiem automatów, gdzie tłum gra i rzadko kto wygrywa, gdzie starsze panie w czepeczkach kwiatowo-brylantowych dostają wypieków przy rulecie, uboższej siostrzycy tej z Monte Carlo, gdzie „rouge et noire", czy „paire-impaire" wyciąga ery z niezamożnych kieszeni, gdzie piwo kosztuje więcej niż pół dolara, gdzie każdą zabawę opłaca się co najmniej jego siódmą częścią. Prosperuje ten park cudowności i jarmarcznej tandety przez całe lato, giną podobno w czeluściach podziemnych szaleństw naiwni marynarze, dekoracje projektuje się na zasadzie koszmaru i secesji, karzełki mówią, piraci wykrzywiają szpetne gęby, dziecko w wieku przedszkolnym ryczy ze strachu w obłąkańczym tańcu aut magnetycznych, sied mioletni może automobilista robi w majtki z emocji na miniaturowym modelu starego forda z gruszką w miejsce klaksonu; cała ta maszyneria zgrzypi, kręci się, hałas jest inspiratorem namiętności, hazard jest w takiej ilości, że przestaje być hazardem i staje się mechanicznym kosztowaniem przyjemności.

A dalej już jest piękno ogrodów i fontann, fajerwerki nocą, Rubinstein na koncercie, najlepszy głos operowy, najsławniejsza primabalerina, najznakomitszy piosenkarz.

Pośrodku tego zgiełku i natłoku wrażeń chodzi spokojny i pewny swego opanowania Duńczyk z rodziną, prowadząc za rękę przeważnie dwoje dzieciaków, ubranych jak w filmie o małych lordach, w ciemne garnitury z muszką i sukienki do kolan, słowem — stare maleństwa. Czyste, wymyte, z przylizanym włosem.

Cudzoziemcy jedzą parówki, pstrykają gdzie się da i nie da, przysiadają na ławkach i zaraz uciekają przed biletrem, wygrywają maszkarona, którego by w rodzinnym kraju bali się pokazać dziecku przed snem z obawy przed epilepsją. Miniatura cywilizacji i świata dorosłych. Wzorzec idealny.

Wychodzę z tego szaleństwa po paru godzinach, ładując się w norweski tramwaj i wracam na „Batorego" jak do oazy spokoju. Zbyt wiele wrażeń, choć jeszcze i tak nie komplet był mi sądzony: w tramwaju rozmawiamy swobodnie z miłą poznanianką o Targach i czuję, że nie obejdzie się bez znajomości z Duńczykiem, który nie spuszcza ze mnie oka. Śmiech mnie bierze jak on pokona bariery językowe i... słyszę najczystszą polszczyznę. „Duńczyk" okazuje się londyńczykiem — Polakiem, proponuje pomoc, ze wzruszenia ledwie mówi. Od 1939 roku pożegnał Polskę, walczył, studiował po wojnie w Mediolanie chemię, potem rzuciły go losy do Anglii, pozostał, ożenił się, pracował lata całe w laboratoriach — teraz kieruje eksportem znanej firmy i podróżuje: dziś Kopenhaga, jutro Sztokholm, pojutrze Oslo.

Był w Polsce, naturalnie, jeździ na targi służbowo, oglądnął „Faraona" Kawalerowicza, tęskni... nie, nie wie czy tęskni. Zresztą nie wypada o tym mówić. Piękną angielszczyzną zagaduje duńskiego policjanta, zresztą jeden w drugiego mającego obowiązek znać ten język, o drogę na Langelinie, pomaga jak może i ciągnie z nami pod „Batorego" — bo to okazja niebywała dla Polaka — powiada. Później wykwintny starszy pan filmuje „Batorego", jest wzruszony i takim go zostawiamy na nabrzeżu kopenhaskiego portu. Niby rodaka, ale mimo wszystko „L'etranger", jak to kiedyś określił Camus — Obcego.

Tymczasem Batory jak wielki dom przycumowany do brzegu przyjaźnie splątał swe potężne liny z „General Mangin" z Marsylii — innym pasażerskim okrętem i wygląda to trochę jak ilustracja do przemówienia o związkach polsko-francuskich. Obok, jak groźne memento, wyizolowany z tej przyjaznej, wycieczkowej atmosfery, stoi krążownik amerykański, górujący nad portem, złożony z przeróżnych kształtów żelastwa, o doskonałej, groźnej surowości przęseł mostu, wyszczerza na spokojne Langelinie trzy lufy armat nie na „parterze", dwie u góry, wyglądając niczym surrealistyczna, gigantyczna zabawka, którą przyciągnięto z bogatej Ameryki od bogatego wujaszka dla grzecznych Kopenhażan. I pomyśleć, że ta zabawka mogłaby bez sentymentów nieco obrócić ostro błyszczące stalowe lufy, zahuczeć i objawić swoje rzeczywiste przeznaczenie, już nie na kurtuazyjnej wizycie...

Dlatego może smutno wygląda przycupnięta obok krążownika słynna syrenka, o wiele mniejsza niż się myślało, niepozorna jak jedna z bajek filozofa z Kopenhagi, która połączyła parę: rzeźbiarz — baletnica i natchnęła Edvarda Ericksena do nadania martwemu kamieniowi oblicza przyszłej żony, co tak bardzo zachwyciła Kopenhażan w roku 1909 interpretacją baletową „Syrenki" Andersena.

Zaś sam stary Chans Christian siedzi w centrum miasta w eleganckim cylindrze na cokole i milczy. Wielki Obywatel i Pierwszy Mieszkaniec Kopenhagi patrzy dziś pewnie z nadzieją na cudzoziemców, że wybaczą jego rodzinnemu miastu bezmyślne traktowanie niegdysiejszego brzydkiego kaczątka, które nie ukochało blichtru zewnętrzności i walczyło niczym Syzyf o prawdę absolutną.

„A gdzie to jest" — zapytałby inny poeta, polski tym razem, ten od „Zielonej gęsi" i przejmującego poematu o śmierci duńskiego bajarza; ironiczny, ale przy tym tak samo sentymentalny, jeśli naturalnie przyjmiemy, że etymologią słowa „sentymentalny" jest uczucie, serce.

Port płonie światłami, milionowa Kopenhaga nocą też płonie światłami, krążownik płonie tysiącem lampionów, które stwarzają złudzenie wrót do raju...

„Batory" odpływa w tę kolorową noc, zostawia za sobą piękne miasto, zanurza się w morze, mrugają do niego gwiazdy i latarnie morskie z wysepek rozsypanych po Sundzie i Morzu Północnym, mającą wybrzeża Szwecji z Göteborgiem, w ciemnościach pogrążony drzemie Elsynor. Polski okręt czekają norweskie cuda przyrody — fiordy.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

DOKOŃCZENIE 3

z „Zazdrości i medycyny" Choromańskiego...

Udane natomiast, pełne plastyki są te partie książki, w których w całym swym rozwarstwieniu, odżywa warszawska inteligencja z lat wojny. Bynajmniej nie wszyscy z visem na okupanta, nie każdy gotowy do skoku z butelką żrącego płynu na butnie maszerującą ulicami Warszawy kolumnę hitlerowskich żołdaków. Są i tacy, którzy skłonni byliby sporadycznie zamanifestować swą życzliwość dla najeźdźców: „Czemuż się ich boimy, przecież Niemcy i w Polsce żyją kulturalnie. Urządzili sobie salę koncertową w jednej z naszych największych kawiarni". Jest w książce opis takiego niemieckiego koncertu dobrej dozwolonej muzyki, na którym spotykamy tych zwolenników kulturalnego porozumienia z najeźdźcą, owych uległych i przedsiębiorczych treuhandlerów, w dzień powszedni skrzętnie organizujących zakupy dla swego kreishauptmana, z którym przecież można się porozumieć, żerujący pod murami zamkniętych dzielnic, „ocalający" jakoby dowody polskiej kultury, dzieła polskiej sztuki.

„...Ach jakiż to entuzjazm wśród polskich bywalców! — biorą sobie za wzór dobre zachowanie żołnierzy, patrząc z zachwytem, jak oficerowie gaszą cygara słuchając Pastoralnej, i karcą wzrokiem kelnerki przerywające tryle „uprowadzonej z Seraju" pytaniem o rodzaj zamawianych ciastek. Oni tu obok przy stoliku zgasili cygara, więc służymy im ogniem, gdy chcą ponownie zapalić na przerwie, pragniemy bowiem dyskretnie dać do zrozumienia, jak Polacy cenią kulturę. A co to się dzieje, kiedy jeden z oficerów, widocznie pianista, wszedł na estradę i zagrał niedozwolonego, buntowniczego Szopena! Cóż za delikatność, jakie zrozumienie naszych cierpień! Dzisiaj myślę, że może on się i narażał, może istotnie chciał nam dać coś do zrozumienia, ale wtedy cytowałam tylko w myśli: „Wczoraj mordował i katował i tyle krwi niewinnej wylał, patrz, dzisiaj on pazury schował i będzie się przymilał..."

Więc ona po takim koncercie chodząc po ulicach stolicy, dobywa z mufki ze srebrnego lisa (ocalonego reliktu dawnej elegancji) kredę i wypisuje na murach „Polska zwyciężył", albo rysuje niezdarnego żółwia i jej chłopcy rysują na murach różne zakazane, prowokujące symbole, „bowiem tak się już przyjęło między matkami, że dzieci od razu uczestniczą w naszej walce".

Czym kończy się „Wrzesień kobiety"? Oczywiście kompletną ruiną jej rodzinnego życia. Jest coś z pikantnej anegdoty w tym epilogu, z którego czytelnik dowiaduje się, że płomienny kochanek — mąż i wzorowy tatuś nie powróci już nigdy do kraju na łono rodziny. Aby była dowcipniej, aby podtrzymać ton opowieści romansowanej (która wszak zaczynała się w Paryżu, pozostanie on w Londynie na resztę swego życia z głośną wedettą stołecznej przedwojennej sceny, jakąś tam Wyderkowską.

Podczas wojny, tęskniąc za nieobecnym mężem, kobieta w Warszawie nieraz przywoływała na pamięć epizod, gdy to małżonek widząc ową aktrysę brylującą na scenie w hipersukni z błękitu i połyskujących strassów, koniecznie zapragnął ustroić w coś podobnego umiłowaną żonę, inspirując nawet w celach zwiadowczych, by dowiedzieć się, skąd taka suknia, spotkanie obu kobiet.

Nie trzeba jednak ulegać złudzie lekkiego blachego nieomal finału „Września": kobieta przeżywszy piekło, już inaczej przeżywa zdradę męża, odejście ojca...

Z serii wojennej literatury, pragnęłabym zwrócić uwagę na obszerną, około 400 stronic druku liczącą nową pozycję pt. „Czysta krew" S. Straussa-Marko (którą również wydało ostatnio Wydawnictwo Łódzkie). Jest to obszerny pamiętnik młodego polskiego Żyda Salomona Straussa, który podczas okupacji odegrał niezwykłą rolę, występując jako Ukrainiec Tymofiej Marko.

Bez aspiracji w kierunku wielkiej literatury, autor opisał historię swego ocalenia. Młody chłopak, gdzieś z małej miejscowości pod Lwowem, wcielony na początku wojny do wojska, przeżywa później wojenny czas w sposób niezwykły. Znakomite warunki zewnętrzne, znajomość języka ukraińskiego, niezwykła odwaga, szybki refleks, no i szczęście, jakie sprzyja niezwykłemu pomysłowi, pozwalają mu nie tylko przeżyć straszliwy okres wojny, ale także nawiązać kontakty z przedstawicielami rządu Związku Radzieckiego, austriackim ruchem oporu, gdyż część okupacji przeżywa na terenie Austrii, gdzie jako czystej krwi Ukrainiec, upoważniony nawet do zaślubienia rasowej Niemki (!) cieszy się wielką swobodą ruchów. Sam narażony w każdej chwili na zdemaskowanie i śmierć, Strauss podejmuje rozmaite akcje mające na celu złagodzenie niedoli młodych ludzi, bezbronnych dziewcząt z rozmaitych krajów, wpędzanych przez hitlerowską machinę w odchłań niedoli, upodlenia i śmierci.

W książce swojej autor zgromadził i przedstawił dużo, na mój gust zdecydowanie zbyt wiele dokumentów, materiałów, listów, mających świadczyć o tym, że dokonując sprawy niespotykanej zachował czoło, że zaskarbił sobie dozgonną wdzięczność wielu jeńców, zesłanych na przymusowe roboty, którym przyszedł z pomocą.

Z perspektywy dwuaziestu kilku lat, już nie warstwa sensacyjna owej mistyfikacji jest najbardziej istotna. Strauss, na podstawie rozmaitych badań przeprowadzonych przez Niemców z powodzeniem uchodzący za aryjczyka czystej krwi, dowiódł, że wszelkie kryteria rasizmu, z którego hitlerowcy wywiedli dyskryminację, są bluffem, jaki w swym szaleństwie pochłonął miliony ludzkich istnień. Strauss nie był wyjątkiem. Można by zacytować szereg przykładów nawet i z pobliskiego Przemyśla, skąd chłopcy wydostawszy się z getta, działali później na terenie Krakowa, pracowali w osławionym monopolu tytoniowym w Czyżynach, bez reszty opanowanym przez niemiecką policję, pełniąc tam z brawurą niebezpieczne funkcje łączników ruchu oporu.

Gdy czytałam „Czystą krew", przypomniał mi się znakomity swoją bogatą treścią, niezbitą naukową logiką referat z jakim, na krótko przed wybuchem wojny, wystąpił w Przemyślu znany antropolog z lwowskiego uniwersytetu dr Czortkower, jedna z gwiazd ówczesnej nauki polskiej, ze swadą i znawstwem przeciwstawiający nonsensom niemieckiego rasizmu spokojne, naukowe kontrargumenty. Zginął wkrótce jako jedna z ofiar rasistowskiej zagłady.

Triumf Straussa-Marko, któremu nie tylko udało się przeżyć, ale zakpić z rzekomo nieomylnej rasistowskiej intuicji, owego „nosa" reprezentantów herrensrasse, jest jeszcze jedną kompromitacją tej „teorii", która legła u podstaw masowego ludobójstwa, przed milionami niewinnych cywilnych ofiar otworzyła dno piekła.

CECYLIA BŁOŃSKA

Jiri Marek

MÓWI MATKA

(Z czeskiego przełożył Jerzy Pleśniarowicz)

Opowiem panu o tym zdarzeniu, najważniejszym i najsmutniejszym zdarzeniu z mego życia. Opowiem panu dlatego, że zajmuje się pan pisaniem. A także dlatego, że czas już chyba, aby o tym usłyszano w kręgu szerszym niż moja samotność. Wierzę, że moim prostym słowom potrafi pan nadać taką formę, jakiej wymaga literatura. Opowiem panu moją historię, bo chciałabym, żeby doszła do czytelników, zajęła ich uwagę, kazała im się nad nią zastanowić. Mam do pana prośbę. Niech pan wysłucha mnie cierpliwie, niech pan moje słowa zanotuje. A później niech pan moje nieuczone słowa poprawi, dopełni. Niech pan, bardzo o to proszę, da im siłę i gniew, wyrazi w nich mój smutek, niech pan wypowie za ich pośrednictwem ważne dla ludzi ostrzeżenie, a więc to wszystko, co zawierać powinno moje opowiadanie, kiedy zostanie już przez pana napisane. Chciałabym, ażeby czytelnicy dali wiarę temu, o czym będę mówiła.

Mieszkam na przedmieściu, w kamienicy, jakich wiele. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, bo nikt mnie tam nie zna. Mój pokój ma dwa okna. Wychodzą na pozbawioną słońca, boczną ulicę. Zza firanek patrzę na ślepe ściany przeciwległych domów. Ceglane ściany bez okien. Nie potrzeba mi wcale lepszego widoku. I tak patrzę już tylko w przeszłość.

Z ludźmi stykam się rzadko. Raz, najwyżej dwa razy dziennie spotykają mnie mieszkańcy naszego domu, jak idę z czarną torbą po zakupy i zaraz wracam. Idę powoli, mam słabe serce, z trudem oddycham.

Czy nie uderzyło pana, że wiele kobiet samotnych, kobiet opuszczonych tak właśnie wychodzi i nikt nie zwraca na nie uwagi, najmniejszej uwagi? Życie omija je z daleka. Wystawy sklepowe nie starają się pozyskać ich spojrzeń. Nikt ich nie oczekuje, nie wita, nie pozdrawia. Nikt. Żyją jakby na marginesie. Przesuwają się przez życie jak niepozorny cień. Niezauważone, niedostrzeżone.

A przecież wszystko co się wokół dzieje dotyczy ich tak samo jak i tamtych co piją życie łapczywymi haustami. A kobiety samotne mają na ogół za sobą jakieś trudne i bolesne przeżycie, żal o którym nikt nie wie. Coś, co utraciły na zawsze. Coś, o czym teraz się nie mówi.

— Ta stara pani z parteru, powiadają o mnie, idzie do sklepu.

Ale pewnego razu, gdy dla biura meldunkowego podawałam datę mego urodzenia, zdziwiona dozorczyni aż klasnęła w ręce:

— Pani jest jeszcze całkiem młoda! Wygląda pani tak poważnie przez te siwe włosy.

— Przez wiele rzeczy, proszę pani. Wiele rzeczy. Nie jestem młoda. Czasami myślę sobie, że mam już tysiąc lat.

— Tysiąc lat!

Dozorczyni roześmiała się, a przy tym patrzyła na mnie trochę niepewnie i smutno, jakby mi współczuła. Czemu jednak miała litować się nade mną? Czemu? Przecież moje życie nie zawsze było takie jak teraz. Kiedyś było inaczej. Byłam szczęśliwa, nawet bardzo szczęśliwa. Miałam męża. Kochałam go i on mnie kochał. Jakże ucieszyliśmy się oboje, kiedy przyszło na świat dziecko!

W moim opowiadaniu, jak pan widzi, nie ma nic szczególnego. Żadnych niezwykłości. Losy bywają do siebie podobne. Tysiące ludzi przeżywa przecież to samo. Obawiam się, że nie zechce pan pisać o sprawach tak powszednich. Proszę jednak o chwilę cierpliwości. Jeszcze chwilę. Niech pan uważnie wysłucha tego, co nastąpi.

Przyszła wojna. Wiadomo, wojna. Kto wojnę przeżył, wie aż nazbyt dobrze, jak to było. Wojna i już. Ale, proszę pana, czy nie sądzi pan, że to za mało, że nie wystarczy powiedzieć ot, tak: wojna?

Wojna. Jedno słowo. Kilka głosek, które nie potrafią wyrazić grozy w słowie tym zawartej. To chyba nie jest odpowiednie słowo. Nie brzmi właściwie, nie odpowiada okrutnej treści, jaką określa. To chyba nie jest odpowiednie słowo. Myślę, że brzmi zbyt miękko, zbyt łagodnie. A powinno skrzypieć, szczękać, dudnić głucho. Powinno sprawiać ból, grozić męką, powinno mieć zapach prochu strzelniczego i skrzepłej krwi — a i to jeszcze nie odtwarzałoby w pełni rzeczywistości. Nie mówiłoby tego, jaka była, jaka może być wojna.

W tej wojnie uczestniczył mój mąż. Uczestniczył, to znaczy — walczył. Nie, nie na froncie. U nas frontu nie było. Wstąpił do organizacji konspiracyjnej. Podjął walkę z okupantem ryzykując życiem.

Przypadły mu ważne, a nielatwe zadania. Wkrótce schwytano go i za działalność podziemną zasądzono na śmierć. Zginął. A ja zostałam sama z dzieckiem.

Widzi pan — to nie takie proste. Trzeba, żeby pan zrozumiał dwie rzeczy. Dwie bardzo od siebie odległe rzeczy. A więc z jednej strony cała groza, cały ciężar słowa wojna, kiedy każde ludzkie, każde z osobistych motywów działanie zatraca sens. Kiedy śmierć zasiada wraz z żywymi przy jednym stole. Kiedy...

I z drugiej strony — przeciwstawiony temu wszystkiemu, przeciwstawiony wojnie — niewinny urok dziecka. Dziecka, które we śnie zwiera drobne piąstki, właśnie tak, jakby chciało uchwycić sen. Ulotny, zmienny, trochę kapryśny sen.

A teraz proszę sobie wyobrazić taką scenę: Park, pogodny bezchmurny dzień. Słońce rzuca blask na kasztany, na ławki, na wysypaną żwirem aleję. Środkiem tej alei depcze dziecko. Mruczy i syczy, z przejęciem wymachuje rączką jak tłokiem. Któż powie, że to aleja w parku, pod którego drzewami zmęczeni zapatrzeni w ziemię ludzie kopią rowy przeciwlotnicze? Ależ nie, to pociąg, wesoły pociąg jedzie po szynach! To wspaniała zabawa, zadziwiająca gra wyobraźni. Świat jest naprawdę piękny. Jest piękny dlatego, że można go zmienić jednym ufnym dziecięcym spojrzeniem.

A cóż dopiero, gdy wróciwszy do domu chłopczyk sięgnie po konika z odłamaną głową. Zwykły kawałek drzewa ożywa w jednej chwili, staje się wspaniałym, rączym rumakiem. Na jego grzbiecie mój chłopak potrząsa jasną czupryną. Jest poważny, niemal surowy. Nie zgadza się na żadne matczyne czułości. Jako nieustraszony rycerz cwałuje przez pola, lasy, bezdroża. Bierze wszystkie przeszkody, przesadza otchłanie, przepaście. Chyba nigdy nie skończy się ta brawurowa jazda. Ale oto na parapecie okiennym przysiadł wróbel i konik zapomniany bezwładnie pada na podłogę. Stał się nieużytecznym, martwym przedmiotem. Tam za oknem ćwierka wróbel! „Mamo, mamo, wróbel!" Malec podbiega do okna, przyciska nosek do szyby i dziwi się: Dlaczego? Dlaczego on nie zaczekał? Dlaczego odleciał tak prędko? A co wróbelek mówi, czy on umie mówić tak jak my?

Po chwili jednak okazuje się, że kolorowa piłka jest od wróbla ładniejsza. Nic jej nie dorówna, bo leci wysoko, aż pod niebo. A kiedy wraca z powrotem, to znowu odbija się od ziemi i tak śmiesznie podskakuje obok ciebie.

Teraz mnie pan rozumie. Już teraz pan wie, czym dla mnie była wojna, cierpienie i śmierć.

Drobny paluszek otwiera książkę, wędruje po zadrukowanych stronicach, zatrzymuje się przy ilustracjach, bo są takie ciekawe: ludzie i samochody, wozy zaprzężone w konie, statek płynący rzeką... Ale to już wcale nie paluszek, to kominiarczyk włazi na dach po drabinie, raz — dwa, raz — dwa.

„Mamo, dokąd chodzi spać kominiarz? A kto gasi gwiazdki? Czy słońce jest większe od mego talerzyka?".

Wszystkie dzieci są ładne, ale najładniejsze chyba wtedy, kiedy zasypiają. Kiedy pogrążają się w sen jak w miękką pierzynkę. Ich znużone senne oczy zamykają się powoli, na ustach błądzi nieśmiały uśmiech. Nadchodzi sen. Za chwilę bezgłowy konik, kolorowa piłka i wróbelek usiądą na krawędzi łóżka i będą żyły dalej, bo piękno dziecięcego świata nigdy się nie kończy.

Dlaczego to mówię? Dlaczego o tym wszystkim opowiadam tak szczegółowo?

Dlatego, że sama na własne oczy widziałam, jak moje dziecko szło na śmierć. Szło razem z innymi dziećmi o smutnych, zobojętniałych spojrzeniach. Te dzieci szły długim korowodem, szły parami, trzymając się za ręce. Takie małe, delikatne, takie bezradne.

Mój mały... Nie, ja nie będę płakała, proszę się nie obawiać. To tylko głos mi się tak łamie. Nie będę płakała.

Musi pan to dokładnie opisać. Chciałabym, żeby pan ujrzał teraz to pustkowie, ten posępny krajobraz śmierci. Kilka starych drzew koło rampy. Wzdłuż toru kolejowego droga, na drodze wysychające błoto, a w błocie drepczą dziecięce nóżki. Setki dziecięcych nóżek — bosych i chudych.

Te dzieci pędzone są na śmierć. Powoli kroczy tragiczny pochód. Nad pustkowiem mętne niebo. Nic się tu nie poruszy, nawet liść się nie zachwieje. To jest tak okrutne i przerażające, że wiatr zawstydził się i drzewa stoją nieruchome. Gdyby nie wrosły tak mocno korzeniami w ziemię, z pewnością by stąd uciekły.

Krajobraz osłupiały z trwogi, milczy, nie oddycha. Tylko ten pochód idzie przed siebie. Idą małe dzieci, które zdążyły już zobaczyć tyle rzeczy strasznych, nieludzkich. Idą bez krzyku, bez słowa nawet, bo niewiele rozumieją z tego, co się tu dzieje. Patrząc z daleka można było pomyśleć, że wracają ze szkoły, albo wyszły na spacer parami, trzymają się za ręce. Ale dzieci nigdy nie chodzą tak cicho. A one nie śmiały się, nie rozmawiały ze sobą. Nie płakały — jakby przeczuwając, że pilnujący ich konwojenci, których podkute buty szłapały w błocie — to ludzie pozbawieni serca i sumienia. Czy tę scenę można opowiedzieć słowami? Czy można ją opisać? Pan jest pisarzem, pan chyba mnie zrozumie. A więc niech pan zapamięta, jak szły na śmierć — te dzieci.

Patrzyłam na nie przez zakratowane okienko towarowego wagonu — pociąg stał właśnie przy rampie, gdzie znajdowała się „mijanka". Nas, kobiety, wywozili w towarowych wagonach do obozu zagłady, jak zwykło się określać cel naszej podróży. Jazda była długa i nużąca — zdawało się, że nigdy się nie skończy. Jechałyśmy okrężną drogą, cierpiałyśmy głód i pragnienie, kilkanaście z nas zmarło podczas tej podróży. Ale najgorsze było to, że rozłączono nas z dziećmi, że nam je odebrano. Nieustannie dręczył nas niepokój: co z nimi będzie? Czy przywłaszczą sobie nasze maleństwa? Pewnie zamkną je w sierocińcach i będą je tam źle traktować. To było przykre, ale równocześnie myśli te kryły w sobie trochę pociechy, trochę nadziei. Najważniejsze, że dzieci przeżyją. Na własnym życiu już nam nie zależy...

W pobliżu rampy ten pochód dziecięcy milcząco przechodził obok naszego transportu, co tam stał tak długo. Przechodził spokojnie — bez okrzyku, bez słowa nawet — wyboistą drogą, na której wysychało błoto. Na końcu drogi dymiły kominy.

Tłoczyłyśmy się u zakratowanego okienka i nagle zobaczyłam w tym pochodzie moje własne dziecko. Mój synek! Krzyknęłam i w ostatnim przebłysku świadomości dostrzegłam, że odwrócił się właśnie tak, jak gdyby mnie usłyszał. Straciłam przytomność, kobiety — więźniarki odciągnęły mnie od okienka, one także chciały widzieć te dzieci, a wszystkie oszalały z rozpaczy. Leżałam na podłodze wagonu i nie czułam wcale, że depczą po mnie. Nie czułam nic, nic nie widziałam, później dopiero dowiedziałam się, że w wagonach wybuchł rozpaczliwy szloch, że wydano rozkaz odjazdu. Płacz matek płynął jak wezbrany strumień i nie potrafiły go zatrzymać ani wyzwiska, ani uderzenia, ani nawet strzały konwojentów.

A potem kobiety próbowały uspokajać się wzajemnie. Tłumaczyły sobie, że to nie były wcale nasze dzieci. Ja także nie mogłam poznać mego dziecka, bo przecież go tam nie było. Takie przypadki się zdarzają. To nie były nasze dzieci. To nie mogły być nasze dzieci dlatego, że z nimi będą się obchodzić inaczej. Oddadzą je do sierocińców, ale pozostawiają przy życiu. Nie, to nie są nasze dzieci, powtarzały kobiety, to są dzieci całkiem obce.

Obce? Jakże można tak powiedzieć, przez chwilę pomyśleć; obce? Przecież na ich widok zatrzepotały nasze serca.

A więc w takiej oto kolumnie, w takim pochodzie szedł mój synek, który nie dawno zapytywał, dokąd gwiazdy chodzą spać. I jeżeli to nie był on, to był inny. Czyjś synek, jakieś inne dziecko. Bo śmierć była przewidziana dla wszystkich, dla tych wszystkich dzieci pędzonych błotnistą drogą. Idą dzieci, którym palec wygląda z dziurawej pończo-

(Ciąg dalszy na str. 6)

KOMPLEKSOWE BADANIA NAD KULTURĄ

(Ciąg dalszy ze str. 3)

plet posiadał 12 szklanek, również zdobionych, podobnie jak dzban. Komplet został wykonany w hucie w Lipnicy, pow. Kolbuszowa.

Motywy zdobnicze na dzbanie są nie tylko ludowe, ale jak najbardziej lokalne. Widzimy więc j e l e n i a — niewątpliwie nieśmiertelnego — z drugiej strony bukietu koguta, czyli pradawną konwencję „drzewa życia", z tą odmianą, że adorujące zwierzęta nie są jednorodne. Bukiety kwiatów bardzo przypominają kwiatony, jakie setkami widzi się na sokołowskich skrzyniach. Takie same były i na szklankach.

W innym domu w Rzochowie był drugi dzban, podobnej formy, tylko większy. I bez ozdób, natomiast z jednolitego, ciemnoniebieskiego szkła. Kolor jest intensywny, szkło czyste. Niestety, na tydzień przed naszym przyjazdem dzban spadł z szafy i rozbił się. Z uratowanych szczątków uda się prawdopodobnie naczynie skleić, z małymi ubytkami. Ten dzban również z całą pewnością pochodzi z huty w Niwiskach.

Wiadomość o hucie w Niwiskach znajdujemy u J. Kołaczkowskiego[3]), ale bardzo lakoniczną. Tyle tylko, że stwierdza jej istnienie. Ale w czasie badań, udało się uzyskać sporo szczegółów odnośnie do niwiskiej huty.

Antonina Wesołowska z Rzochowa, żona miejscowego kowala, Michała, była córką Władysława Welzera, wędrownego hutnika szkła, który do Niwisk przybył z Bojanowa. Tam, jak wiadomo, była też huta, w której wyrabiano głównie szkło okienne. W. Welzer ożenił się w Niwiskach z córką właściciela huty, Józefa Matzendra (Macendra?). Jest więc Wesołowska jego wnuczką. Ten miał wiele dzieci, zmarł tragicznie. Po nim hutę odziedziczył syn Ludwik.

Wesołowska potwierdza, przekazując tradycję rodzinną, że w Niwiskach zdobiono szkło trawienne, co nazywało się „rafinowaniem".

W samych Niwiskach tradycja huty jest jeszcze żywa. Wiktoria Pietrzyk jako dziewczynka nosiła obiad ojcu, pracującemu w hucie, Janowi Kolisiowi. Mając dziś ponad 70 lat pamięta dobrze, że w tym czasie wyrabiano w hucie różne naczynia szklane, jednak bez jakichkolwiek ozdób. Masowo produkowano flaszki tzw. „flaskurki", niewątpliwie na wódkę. Również butle niewielkich rozmiarów, jaką Pietrzykowa jeszcze posiada. Robotnicy huty rekrutowali się głównie z dwóch niwiskich rodzin, a to Kolisiów i Stryczków. Ci po likwidacji huty w latach 1907—8 jeździli do pracy na Węgry.

Wydaje się pewne, że w Niwiskach były dwa okresy wyrobu szkła[4]). W Słowniku Geograficznym bowiem czytamy: „Na wschód zaś opuszczona jest huta szklana, za którą mieści się przysiółek Hucisko, powstały z osadą hutników". Słownik Geograficzny — jak to stwierdza data 1879 — został opracowany w siedemdziesiątych latach XIX w. W tym czasie nie istniała już huta w Hucisku, ale też nie istniała jeszcze huta w Sokolu, przysiółku na południowy wschód od wsi. Biorąc pod uwagę wyjątkową zdobność dzbana i datę 1879 na nim, można śmiało przyjąć, że druga huta mogła powstać gdzieś po r. 1875, słownik bowiem nic nie wspomina o jej istnieniu. Kto wie, czy bardzo ozdobny dzban, jak i szklanki nie należą do pierwszych wyrobów nowej huty, niejako reklamowych. Może chodziło o zdobycie klienteli wśród ziemian i ich urzędników oraz mieszczan.

W skorowidzu przemysłowo-handlowym z r. 1906[5]) huta jeszcze istnieje. Ściśle wymienia tylko Ludwika Macendra jako właściciela huty. Co jeszcze, można być przyjąć, że twórcami ozdób na naszym dzbanie — niewątpliwie na innych też — byli miejscowi chłopi. Uzdolnienia rysunkowe u Lasowiaków w ostatnich czasach zostały wielokrotnie stwierdzone.

W kościele w Rzochowie — drewnianym, z r. 1842 — jest żyrandol, zmontowany z bogato rozwiniętych elementów szklanych, formą zbliżonych do liści. Tego rodzaju żyrandola nie spotkałem dotychczas w żadnym kościele w tych stronach. Czy nie został wykonany w Niwiskach? Ma bowiem XIX-wieczny charakter. I, czy nie został zrobiony w celach reklamowych? Gdyby przypuszczenia okazały się słuszne, to zachowane przedmioty byłyby świadectwem poziomu tchnicznego i artystycznego wyrobów huty w Niwiskach.

* * *

Już raczej na marginesie chcę wspomnieć jeszcze o jednym pozyskanym eksponacie, chociaż ze sztuką ludową nie mającym nic wspólne go. Ofiarował go Aleksander Rusin, z przysiółka Dobrynina, Rudy. Ofiarodawca jest prawnukiem człowieka, który pracował w miejscowej hucie, lecz nie szkła, ale żelaza. Po hucie — dymarkach i kuźnicy — pozostała potężna grobla i zwały żużla. Pradziadek ofiarodawcy eksponatu, według tradycji rodzinnej kowal z zawodu — a może kuźnik — po likwidacji huty, zabrał czy też kupił kowadło kuźnicze lub młot, który zachował się w tejże kowalskiej rodzinie, służąc czterem pokoleniom. Tenże właśnie młot został ofiarowany do zbiorów Działu Etnograficznego Muzeum w Rzeszowie przez ostatniego przedstawiciela kowalskiej rodziny. Jednym zdaniem, badania kompleksowe dają dobre wyniki.

Przypisy

1. Wszystkich danych odnośnie do dzba na udzielila jego ofiarodawczyni, Stefania Popiel, za co na tym miejscu składam jej serdeczne dzięki.
2. Julian Kołaczkowski, Wiadomości tyczące się przemysłu i sztuki w dawnej Polsce, Lwów, 1905, s. 578.
3. Schematyzm diecezji tarnowskiej Tarnów 1938, hasła: Rzochów i Niwiska.
4. Miejscowa tradycja wskazuje na dwa miejsca, gdzie stały huty.
5. Skorowidz przemysłowo-handlowy królestwa Galicji, Lwów 1906.

Nasz rodowód miejsce i przyszłość

W okresie okupacji hasło „Ochrona kultury i przyrody polskiej" zaczęło przenikać do społeczeństwa. W Przeworsku zorganizowano zbieranie i przechowywanie książki nie tylko starej, ale i drukowanej w latach międzywojennych, gromadzono podręczniki i w miarę możliwości, szkolne pomoce naukowe. Rozwijało się tajne nauczanie. Nauka i wiedza miały również decydować o przyszłej Polsce.

Nie podnoszę tu zasług ani ofiarnej pracy poszczególnych osób, bo dla wszystkich nagrodą było poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Niemniej warto wspomnieć, że wyratowanie przygotowanych do spalenia najcenniejszych dokumentów królewskich, miejskich, cechowych i różnych akt czy ksiąg zawdzięczamy dwom byłym pracownikom magistratu, tj. ob. Jungowi i Stefanowi Świtalskiemu. Służba magistracka ukryła również pomnik Jagiełły w stajni pod żłobem koni. W okresie kwaterowania wojsk hitlerowskich w szkołach, książki i pomoce przeniesione zostały także do magistratu. Do pełnych atrakcji, nie mówiąc niebezpieczeństw, zaliczały się wyprawy po książki zwłaszcza szkolne, do różnych miast, np. Rzeszowa, Krakowa i Lwowa.

Nie wiem czy we wszystkich powiatach się tak działo, ale dla dobra sprawy przypomnę, że właśnie w najtragiczniejszych czasach okupacji faszystowskiej uczyniono coś w rodzaju mobilizacji czytania książki polskiej. Wiem, że Krzyżaków przeczytało w owym czasie 600 osób, a Starą Baśń — 350 osób.

Jednego dnia otrzymaliśmy wiadomość, że najstarsze eksponaty z pałacu Lubomirskich zostaną wywiezione i najprawdopodniej spalone. Staremu słudze pałacowemu Bestrowi podaliśmy na kartce nazwy eksponatów, starając się określić je kolorami i znakami. Musiał się on bardzo śpieszyć, bo czas naglił, a „kulturkommision" już grasowała w pałacu. Eksponaty zostały uratowane.

Po wyzwoleniu nowo powstałej władzy ludowej zgłaszamy istnienie Towarzystwa Ochrony Przyrody i Kultury Polskiej i za jej pomocą rozpoczynamy działalność. Wiemy, że w niektórych dworach są cenne biblioteki, takie czy inne zbiory, pojedyncze i grupowe relikty przyrody — parki. Wyciąć łatwo, procesy niszczenia są zawsze szybsze niż procesy twórcze. Dla ochrony książki i dokumentów — starodruków — wyłania się komisja w składzie: Knot i Mieczysław Opałek — pracownicy Ossolineum, Józef Kończa i niżej podpisany. Pracy jest dużo. Dwaj fachowcy dniem i nocą pracują nad segregacją, nieraz już dobrze przyniszczonych materiałów. Przeżywamy niejeden ból niepowetowanych strat. Wartościowe dla kultury polskiej dzieła złożyliśmy w odpowiednich skrzyniach i pod opieką wysłaliśmy do Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

Nieco później założyliśmy Koło Miłośników Miasta Przeworska. Działalność nasza obejmowała pracę kulturalno-oświatową w wielu kierunkach, kładliśmy szczególny nacisk na wszczepienie pietyzmu dla regionu. Na uwagę zasługuje wkład członków Koła w organizowanie imprez związanych z obchodami Tysiąclecia Polski i 700-lecia Przeworska. Nasze Koło inicjowało też szereg wystaw fotografiki i z prac plastyków. Na prośbę Koła przez okres kilku lat mgr Maria Lemańska-Trepińska prowadziła prace dokumentacyjne zabytków architektury i sztuki, a prof. dr Wojciech Hejnosz opracował rozwój prawa w Przeworszczyźnie. Józef Benbenek gromadzący wiele pamiątek, fotografii, dokumentów „braci cechowej" podał szczegółowy opis dokumentów do historii rzemiosła przeworskiego. Mamy nadzieję, że w przyszłości otworzy się front badań archeologicznych, socjologicznych i etnograficznych.

Tematyka Przeworska posłużyła jako tworzywo do prac magisterskich młodzieży pochodzącej z Przeworska, i tak: P. Harmatówna opracowała temat „Mury obronne Przeworska, możliwości ich konserwacji, ew. rekonstrukcji". P. Urban, nauczycielka gimnastyki uzyskała magisterium, pisząc pracę pt. „Historia Towarzystw Gimnastycznych" uwzględniając jako podstawę dzieje „Sokoła" w Przeworsku. T. Ochyra napisał pracę z zakresu socjologii ruchów migracyjnych wieś — miasto.

W porównaniu z innymi miastami o Przeworsku i Przeworszczyźnie pisze się wiele, ale to co napisano nie stanowi jeszcze monograficznego ujęcia. Tematyka września 1939 roku aż się prosi o podjęcie.

Zadania Koła znacznie się poszerzyły, cenna łączność z ludźmi, którzy wyszli z Przeworska, a pracują jako naukowcy na różnych uniwersytetach, w instytutach i instytucjach i liczne kontakty z Tow. Historycznym, Tow. Przyjaciół Nauk i Muzeum pozwalają nam na uzyskanie autorytatywnych rad i konsultacji. Nasze koło powzięło na walnym zebraniu uchwałę o zmianie nazwy na Towarzystwo Miłośników Ziemi Przeworskiej celem rozszerzenia działalności i pozyskania aktywu kulturalnego wsi.

Sądzimy, że władze przychylą się do naszego postulatu. Wydaje się nam, że nadeszła pora opracowania monograficznego Przeworszczyzny i utworzenia odpowiedniego kolektywu do zebrania materiałów, a także wypracowań poszczególnych tematów.

Ożywienie ruchu kulturalnego, co niewątpliwie nastąpi po Kongresie Kultury, powinno wpłynąć na uaktywnienie istniejących już klubów w Przeworsku i domów kultury, niedawno zbudowanych, jak np. w Ubieszynie, Łopuszce Wielkiej, Wólce Ogryzkowej. Na pewno te sprawy wyjdą na Sejmiku Kultury w dniach 24—25 bm. Nie będzie tu chodziło o sporadyczne kontakty, ale o jakieś głębsze współdziałanie i systematyczną pracę.

HENRYK JANKOWSKI
przewodniczący
Towarzystwa Miłośników
Ziemi Przeworskiej

EUGENIUSZ RYCHEL —
przewodniczący Zarządu Okręgu Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki w Rzeszowie

RYS. J. SIENKIEWICZ

MÓWI MATKA

(Ciąg dalszy na str. 5)

chy, które dłonią wycierają zasmarkany nosek i mają włoski rozczochrane jak wróble gniazdo. Czy są słowa zdolne wyrazić tę grozę? Czy da się opisać, to co czuły w tej chwili matki?

Najgorsze było to, że żyłam. Że nie umierałam, chociaż zdawało mi się, że serce mi pękło. Zawstydzona śmierć nie miała dość odwagi, by spojrzeć mi w oczy. I dlatego prawdopodobnie przeżyłam, wróciłam stamtąd, chociaż wcale się tego nie spodziewałam. Wróciłam. Ale mój synek nie wrócił.

To wszystko. Oto cała moja historia. Widziałam, jak szło na śmierć moje własne dziecko.

Na wojnie — jak na wojnie. Taki już los człowieka. Podczas wojny nawet dzieci walczą, powiedział ktoś na zebraniu. Ale to nieprawda. Dzieci nie walczą, dzieci tylko cierpią. Walczących zawsze jest na wojnie mało, za to ofiar wiele, a cierpienie ludzkie nie ma końca.

Dlaczego o tym mówię? Dlaczego właśnie do pana? Ponieważ od czasu do czasu wspomina się teraz o nowej wojnie.

W mojej samotności wojna nie może już nic zniweczyć, w mojej pustce nie zdoła mi nic odebrać. Ale są przecież matki, których dzieci żyją i budzą się z takim uśmiechem jak mój synek, a wieczorem zasypiają zmęczone tak samo. Mają podobne zabawki i zabawy. Ich czoła owiewa łagodny wiatr dziecięcych snów.

Niech pan napisze tym wszystkim kobietom, że czuwam. Ażeby i one czuwały. Dziś, gdy mówi się o wojnie, o zbrojnych do niej przygotowaniach, ja myślę o krzyku zabijanych dzieci. Niech pan to opisze, żeby wszystkie kobiety o tym myślały. Kiedy przechodzę przez park, nie widzę bawiących się dzisiejszych dzieci, ale widzę tamte, które wojny nie przeżyły.

Nadsłuchuję tego, co głoszą zwolennicy nowej wojny. Ja, matka, która ma tysiąc lat, której serce tysiąc razy przeszył trudny do opisania ból. Mogił moich dzieci nikt nie zliczy. I nikt nie wróci mi tamtego, co wyciągało ku mnie drobne, bezradne dłonie.

Wojna. Nie, nie może być wojny. Kroki dzieci, które szły na śmierć głucho dudnią na alarm: Zastanówcie się, opamiętajcie, wystąpcie przeciw wojnie.

Na imię mam Maria.
Na imię mam Katia.
Na imię mam Rachel.
Na imię mam Penelope.
Mam tysiąc imion. Jestem matką całego świata.

Wciąż słyszę dziecięce wołanie w pustkowiu. Wciąż słyszę krzyk zabijanych dzieci.

Oto wyciągam ręce, proszę spojrzeć. Oto wyciągam ręce, by powstrzymać zagrażające światu niebezpieczeństwo. Powstrzymam je. A jeśli będzie trzeba, moimi starymi rękami, które nigdy już nie dotkną dziecięcej główki, dziecięcego policzka — sięgnę do gardła tym, co usiłują rozpętać nową wojnę.

* * *

Nota informacyjna

JIRI MAREK należy w literaturze czeskiej do pokolenia, które debiutowało w okresie wojny i po wojnie. Urodzony w 1914 roku studiował filologię czeską na uniwersytecie praskim, walczył w szeregach Armii Czechosłowackiej stworzonej w Związku Radzieckim. Od roku 1946 rozwinął szeroką działalność literacką i publicystyczną — przez kilka lat należał do kolegium redakcyjnego „Rudeho Prava" był dramaturgiem i dyrektorem Czechosłowackiego Filmu. Obecnie pełni funkcję dziekana wydziału dziennikarskiego uniwersytetu w Pradze. W okresie dwudziestolecia (1946—1966) ogłosił Marek kilkanaście pozycji książkowych. Są wśród nich powieści („Marsz w ciemnościach" — 1946, „Wieś pod ziemią" — 1949, „Za tobą cień" — 1965), zbiory opowiadań („Nad nami świta", gawędy górnicze — 1950, „Z cegieł i uśmiechu" — 1953, „Małe dramaty" — 1960, felietony („Gawędy automobilowe" — 1964). Dużą popularnością cieszyły się reportaże Marka ze Związku Radzieckiego i z Indonezji. W Polsce Jiri Marek jest znany przede wszystkim jako autor powieści „Marsz w ciemnościach", tłumaczonej przez Zdzisława Hierowskiego oraz jako scenarzysta takich filmów jak „Zwycięskie skrzydła", „Nad nami świta", „Wszędzie żyją ludzie". Z nowych książek Marka na szczególną uwagę polskiego czytelnika zasługuje powieść „Za tobą cień", obrazująca losy ukrywającego się przed wymiarem sprawiedliwości zbrodniarza wojennego. Temat do tego utworu zaczerpnął Marek z procesu zasądzonego za przestępstwa z okresu okupacji hitlerowskiej łańcuckiego i jarosławskiego żandarma Kokota, lokalizując częściowo akcję na ziemiach polskich. Z twórczości Marka największy rozgłos zdobył monolog nowelistyczny „Mówi matka", tłumaczony już na 11 języków. Dzięki głęboko humanistycznej treści i sugestywnej formie utwór ten wszedł do antologii światowej literatury antyfaszystowskiej i antywojennej.

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

F.C. — SIENIAWA: Wiersze, które otrzymaliśmy są dość interesujące. Świadczą o wyobraźni i kulturze literackiej autora. Brak im jednak oryginalności — niepowtarzalnych, osobistych cech autora i indywidualnego widzenia świata. Są to raczej etiudy czy wprawki warsztatowe bardzo pożyteczne dla doskonalenia formy poetyckiej, lecz nie nadające się do druku. Proszę utrzymywać z nami kontakt i przesłać nam bliższe informacje o sobie.

R. T. — JAROSŁAW: Nie skorzystamy. Utwory niby poprawne i nowoczesne w formie, ale martwe. Brak im obrazowości i barwności. Poza tym za dużo w nich programowego udziwniania i niezrozumiałości. Trudno nam uwierzyć, że pańska wyobraźnia tak reaguje na świat.

A. M. — MIELEC: Próby poetyckie nie rokują nadziei na przyszłość. Są naiwne, niedojrzałe myślowo i prymitywne formalnie. Któż dzisiaj używa w wierszu lirycznym takich sformułowań jak: „różane usteczka", „tęcza mej miłości", „ognisty miecz zdrady", „rumiane lica" itd. Są one banalne i wytarte w użyciu tak, iż nie zawierają już żadnych treści emocjonalnych.

A. Sch. — RZESZÓW: Chyba warto kontynuować próby, chociaż wiersze jeszcze do publikacji się nie nadają.

Zdarzenia tygodnia

Dziś, tj. w sobotę, w odremontowanej niedawno strzyżowskiej synagodze otwarta zostanie, urządzona dzięki staraniom Działu Etnograficznego Muzeum Okręgowego w Rzeszowie, Wydziału Kultury Prez. PRN i Powiatowej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Strzyżowie wystawa strojów ludowych, pochodzących ze zbiorów muzeów w Rzeszowie i Gorlicach. Będą to stroje ludowe regionu rzeszowskiego oraz z okolic Krosna i Gorlic. Eksponowane będą również niektóre zabytki kultury ludowej Rzeszowskiego.

Wystawa będzie czynna do 10 października br.

* * *

20 bm. w Mielcu i 21 w Rzeszowie wystąpili laureaci i uczestnicy IV Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. „Festiwalowy autobus" (tak organizatorzy nazwali imprezę) przywiózł do woj. rzeszowskiego m. in. Danę Lerską, Joannę Rawik, Wandę Warską, Tadeusza Chyłę, Tadeusza Woźniakowskiego i Krzysztofa Cwynara. Solistom towarzyszyły znane w kraju zespoły Andrzeja Kurylewicza i Janusza Senta.

* * *

Dziś, tj. 25 bm. w Tarnobrzegu oddana zostanie do użytku młodzieżowa filia Zakładowego Domu Kultury Kopalni i Zakładów Przetwórczych Siarki. Fakt ten zasługuje tym bardziej na uwagę, gdyż lokal uzyskano dzięki adaptacji nieczynnej już kotłowni. W związku z otwarciem tej placówki odbędzie się część artystyczna, a Teatr im. W. Siemaszkowej z Rzeszowa wystawi sztukę pt. „Hipnoza".

Młodym mieszkańcom Tarnobrzega życzymy, by placówka ta została wykorzystana we właściwy sposób i służyła jak najlepiej wszystkim chętnym.

* * *

Muzeum Okręgowe w Rzeszowie wznowiło po przerwie wakacyjnej cykl odczytów, poświęconych sztuce polskiej w Tysiącleciu. 23 bm. mgr Aleksandra Kietlińska, pracownik Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu wygłosiła odczyt pt. „Wschód-Zachód w tkaninie artystycznej".

Przypominamy, że odczyty będą organizowane co dwa tygodnie, w piątki o godzinie 18. Odczyty są bogato ilustrowane przezroczami i reprodukcjami.

* * *

Z okazji Dni Gorlic w Bieczu czynna była wystawa fotogramów, plonu, ogłoszonego przez Wydz. Kultury Prez. PRN w Gorlicach i PKKFiT konkursu pt. „Ziemia gorlicka w fotografii".

Z nadesłanych dość licznie fotogramów, obrazujących zabytki architektoniczne i osobliwości przyrody pow. gorlickiego wyróżniono prace M. Staszewskiego, J. Świndryka (II nagroda) i R. Adamczyka (III nagroda).

Bolesław K. Dolata: WYZWOLENIE POLSKI 1944—1945 W-wa 1066 MON s. 576, mapy, cena 48 zł.

Obszerna pozycja omawia przebieg walk o wyzwolenie naszego kraju w oparciu o dokumenty. Zawiera indeks dat wyzwolenia miast i ważniejszych miejscowości polskich, komunikaty wojenne Naczelnego Dowództwa Armii Radzieckiej dotyczące wyzwolenia terytorium Polski, skład organizacyjny i obsadę personalną wojsk radzieckich i polskich, które walczyły o wyzwolenie Polski oraz obszerną bibliografię przedmiotu.

Bronisław Sianoszek: ŚMIERĆ NIE PRZYCHODZI, KIEDY CZEKAM. W-wa 1966. Iskry, s. 230, cena 16 zł.

Trzecia z kolei pozycja z serii tzw. „Edycji autentyków", tj. książek „ludzi ciekawego życiorysu". Akcja tego pamiętnika rozgrywa się w okresie okupacji. Autorem książki jest b. żołnierz ZWZ i AK.

Bogdan Loebl: KATARAKTA. W-wa 1966, Iskry, s. 132, cena 10 zł.

Po tomie opowiadań „Upał" następna pozycja prozatorska zamieszkałego w Rzeszowie pisarza. Akcja tej ciekawej powieści (której fragmenty drukowaliśmy w „Widnokręgu"), rozgrywa się współcześnie w środowisku młodzieży artystycznej.

Knut Hamsun: GŁÓD. W-wa 1966, PIW. Najsławniejsze powieści świata, s. 179, cena 15 zł.

Najznakomitsza to chyba powieść norweskiego pisarza (1859—1952). Bohaterem jest młody wagabunda, wrażliwy na piękno przyrody, urodę kobiet, nie szanujący norm społecznych. Utwór zawiera elementy autobiograficzne.

Olga Berghole: DZIENNE GWIAZDY. Przeł. M. Traczewska. W-wa 1966 PIW. s. 221, cena 12 zł.

Pamiętnik znanej radzieckiej poetki. Oddaje on atmosferę rewolucji przeżytej przez autorkę w dzieciństwie oraz obrazuje bohaterską obronę Leningradu w czasie II wojny światowej. Dużo liryzmu.

Bronisław Wieczorkiewicz: GWARA WARSZAWSKA DAWNIEJ I DZIŚ. W-wa 1966. PIW, s. 407, cena 35 zł.

Nowy tom z serii „Biblioteka Syrenki". Jest tu historia rozwoju gwary warszawskiej w poszczególnych środowiskach społecznych. W związku z tym powstaje szerokie tło obyczajowe Warszawy — sylwetki jej mieszkańców, humor i folklor przedmieść. Słowniczek warszawskich wyrażeń gwarowych.

Leszek Elektorowicz: ZWIERCIADŁO W OKRUCHACH. Szkice o powieści amerykańskiej i angielskiej. W-wa 1966. PIW. s. 363, cena 25 zł.

Znany krytyk literacki przeprowadza tu charakterystykę typowych zjawisk w twórczości pisarzy amerykańskich i angielskich. Obok mniej znanych, znajdujemy tu postacie wybitne jak Hemingway, Faulkner, Huxley, Steinbeck i inni. W końcowej części książki — noty biograficzne.

A. Klubówna, S. Kaźmierczyk: Z LAT DALEKICH I BLISKICH. W-wa 1966. KiW. s. 544, cena 125 zł.

Bogato ilustrowane, albumowe wydawnictwo z okazji Tysiąclecia Państwa Polskiego. Ukazuje ono najważniejsze fakty z historii Polski od legend i odkryć archeologicznych, do najnowszej historii, którą pisał dla Polski rok 1944 i 1945.

Paul W. Merrill: CHEMIA KOSMOSU. W-wa 1966. PWN. s. 154, cena 10 zł.

Kolejny tomik „Omegi". Autor przedstawia metody badań składu chemicznego kosmosu oraz ich rezultaty. Ukazuje ich związek z innymi dziedzinami wiedzy.

Józef Margules: Z POMOCĄ POWSTAŃCOM WARSZAWSKIM. W-wa 1966. KiW. s. 85, cena 4 zł.

Tomik z serii: Problemy, Polemiki, Dyskusje. Ukazuje on związki i współzależności powstania warszawskiego 1944 roku z działalnością 1 Frontu Białoruskiego i frontu zachodniego. Omawia również pomoc 1 Armii Wojska Polskiego dla powstańców warszawskich.

Franciszek Fenikowski: KALOSZEM DO SKANDYNAWII. Gdynia 1966. Wyd. Morskie. s. 361, cena 30 zł.

Ciekawy reportaż z podróży autora do Danii, Szwecji i Norwegii. Obok współczesnej, pokazuje Skandynawię z perspektywy historycznej uwzględniając związki polsko-skandynawskie. Dużo humoru.

Henryk Starczewski, Jerzy Świątkiewicz: PRZEPISY PRAWNE RAD NARODOWYCH. Według stanu prawnego na dzień 1 IV 1966 r. W-wa 1966 Wyd. Prawnicze, s. 190, cena 17 zł.

Poradnik dla działaczy i pracowników rad narodowych wszystkich szczebli. W formie popularnej omawia zagadnienia wydawania przez rady narodowe i ich organa przepisów prawnych.

Włodzimierz Berutowicz: ZNACZENIE PRAWNE SĄDOWEGO DOCHODZENIA ROSZCZEŃ. W-wa 1966 Wyd. Prawnicze s. 197, cena 25 zł.

Wydawnictwo dla prawników. Omawia pojęcie sądowego dochodzenia roszczeń, procesowe i materialno-prawne jego skutki oraz ich wzajemna współzależność.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony 2056, 2057 — wewn. 195. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.